Nr. 23 Lwów, Niedziela dnia 3. Lutego 1878 r. Tom VI.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
We Francyi prenumeratę i ogłoszenia przyjmuje wyłącznie ajencya Havas, Laffite et comp. 8. place de la Bourse.

Pochodnie Nerona.

Nostradamus twierdził, że wszystkie przepowiednie muszą się ziścić. Rzecz by to była dość trudna, skoro często jedna przepowiednia drugiej przeczy, a teraz stoimy przed przepowiednią, co się na pewne nie ziściła. I już pewnie stanęła czytelnikowi na myśl, i każdy wie, że tu mowa o słynnem proroctwie Klaczki, że malarstwo polskie nigdy powstać nie może. A była to przepowiednia tak zuchwała, jak tego, co by o brzasku mówił, że dnia nie będzie, bo Henryk Rodakowski zasłynął już wtedy. I ledwo Klaczko wypowiedział swoją wróżbę, a naród polski wszedł w drugi okres duchowej twórczości, świadcząc nim nie już tylko o niespożytej młodzieńczej żywotności, ale i o nowo nabytej cnocie, wytrwałości w pracy.

Nie przeczę, że i poeta musi umieć wiele, i musi umieć wytrwać, ale u niego przecie pierwszą rzeczą talent, czy geniusz, gdy się geniusz trafi i nie będzie wieszczem poeta, którego technika nadto trudzi. W malarstwie bez pracy mozolnej i wytrwałej, i geniusz nic nie wskóra; jeżli tedy nastąpiła epoka polskich malarzy po wspaniałej epoce poetów polskich, i jeżli ta pracowitsza doba trwa dłużej od łzawego wybuchu pieśni polskiej, dowód to, że już nietylko czuć i marzyć umiemy, że umiemy pracować i działać; a w tym nadzieja, że potrafimy się niebawem i liczyć z wypadkami i że wydobędziemy się na słońce wolności za pomocą męskiej już woli i roztropnej myśli.

W dwadzieścia lat po Maryi milkły już pieśni naszych poetów. Starszym zamierała na uściech wieszczba, a z samotnym wyjątkiem pieśni Jeremiego nic nam nowych, młodszych niezwiastowało; i odtąd milkła lutnia polska, aż zamilkła prawie, by się przebudzić kiedyś za lepszych dni pieśnią wesela i zwycięztwa.

Minęło już dziś lat dwadzieścia od pierwszych kroków Rodakowskiego, Piotrowskiego, Simmlera, Kossaka, a starsi mistrze malują coraz więcej i bodaj czy nie coraz lepiej, a coraz nowi zwracają na siebie uwagę świata, niosąc obietnicę dalszych arcydzieł. I taką obietnicą była wieść, co nas doszła aż gdzieś z Rzymu, że Polaka Siemiradzkiego, starym a zapomnianym prawie obyczajem, wieńczono na Kapitolu za obraz olbrzymi przedstawiający „Pochodnie Nerona,“ to jest męczenników palonych przez owego okrutnika.

Gdym o tem w dziennikach czytał, ciekaw byłem zobaczyć obraz, ale ciekawość ta była zmięszaną z pewnem niedowierzaniem. Rzymianie dzisiejsi patrzą na największe dzieła malarstwa, a sami malują bohomazy, zkądżeby się tedy mieli poznać na dobroci obrazu? I jakżeby mógł ten przedmiot nie być ani mdłym, ani rażącym? Tak myślałem sobie, a jednak czekałem niecierpliwie na przyobiecany przyjazd obrazu, a gdym się dowiedział, że jest wreszcie we Lwowie, pospieszyłem by się przekonać czem jest nowy słynny malarz polski, i o ile się Rzymianie dzisiejsi znają na malarstwie?

A gdym wszedł na strzelnicę i spojrzał na pochodnie, ujrzałem przed sobą płótno ogromne, jakby jaka kortyna od jakiej wielkiej opery, i bardzo pstre, na którem widać było czterech murzynów na żółtem tle, wśród nieprzejrzanego tłumu twarzy ciemnych, objętych pstremi barwami. I z daleka nic nie widziałem i z bliska rozróżniałem tylko pojedyńcze postacie spiętrzone tak, jak się piętrzą figurki na chińskim parawanie.

Niekorzystne to wrażenie pierwsze powtórzyło się i drugi raz, gdym drugi raz wszedł do sali, choć już wiedziałem, że obraz posiada wysokie zalety, i dopiero za trzecim razem obeszło się bez niego. Zapewne powieszenie obrazu po części temu winno, ale to nie samego oświecenia wina, a jest i wina malarza w tem chaotycznem wrażeniu, który obraz na pierwsze wejrzenie robi.

Mało jest na świecie obrazów tak wielkich jak pochodnie Nerona, a te obrazy są to wyłącznie prawie malowidła ścienne, których przeznaczeniem jest zostać tam, gdzie je namalowano, i które przeto mają zawsze pomieszczenie odpowiednie, i na które się zawsze patrzy z pewnej odległości i przy pewnem oświetleniu. Wiedział tedy zawsze ich twórca, jak trzeba malować, aby i perspektywa się wydała dobrą, i wszystkie szczegóły łudziły, i całość była odrazu zrozumiałą. Siemiradzki nie malował swego olbrzymiego utworu na ścianie i musiał tedy myśleć o różnych salach i różnej publiczności i spotkał się tedy z trudnością nieprzezwyciężoną. Gdy się raz obraz zna, widzi się, że w wielkiej odległości odznacza się on niezrównaną głębokością perspektywy, i dziwnem życiem w całości; ale w tejże odległości nie widać ani owych twarzy, ani owych szczegółów, które Siemiradzki tak przecudnie wykonał. Aby im się przypatrzyć, trzeba się zbliżyć tak, że perspektywa staje się złą na pozór. Nie można tedy nigdy oglądać równocześnie wszystkich zalet obrazu, ale dopiero gdy się obraz już wszechstronnie poznało, objęło się jego całość, ale to zawsze tylko okiem duszy.

Ale i z innego jeszcze powodu wymaga obraz ten długiego studyum, nie na to, aby poznać wszystkie jego piękności, ale na to już, aby objąć jego całość i zrozumieć jego myśl przewodnią. Oko widza szuka mimo woli zrazu środka obrazu, i tam znajduje Nerona, w miejscu zajętem przez Chrystusa w sądzie ostatecznym i w dyspucie, przez Aristotelesa i Platona w Szkole Ateńskiej, przez Konstantego w Watykańskiej bitwie, że wspominam tylko równie wielkie obrazy. Otóż we wszystkich wspomnianych obrazach i w wielu mniejszych, a równie slawnych, jest środek geometryczny i moralnym środkiem obrazu; w nim ześrodkowują się myśli i uczucia całego otoczenia, do niego dążą linie ruchu, koło niego układają się linie architektury. Źle to zapewne, gdy ta symetrya wyradza się w martwą architektonikę bizantyńską, ale nie dobrze gdy jej nie ma, i gdy się przeto myśl artysty nie odrazu uwidoczni.

Otóż tu Neron geometrycznym tylko środkiem obrazu. Ani linie, ani myśli do niego nie dążą, a prawdziwy środek obrazu, rzecz, do której dąży ruch cały i myśl cała, rzecz, na którą patrzy przepyszna facyata Palatyńskiego pałacu, rzecz

co całości dała swe imię, i w jednym kącie obrazu, i na drugim planie, i u samej góry, tak wysoko, że żadną miarą na siebie nie zwróci uwagi widza. Trzeba za nią szukać prawie. A to błąd, bo tak w dramacie, jak w obrazie główny motyw powinien być najwidoczniejszym.

Gdybym był uległ pierwszemu wrażeniu, gdybym się nie był przezwyciężył, byłbym wyszedł po niedługiej chwili, i byłbym zawyrokował, że to obraz krzykliwy tylko i dekoracyjny, że to wystawa barw jak u Makarta, i piramida ciał mających co najwięcej alegoryczne, dowolne znaczenie, jak u Kaulbacha. Przezwyciężyłem się, przypatrzyłem dobrze, rad zresztą z tego żem na piękne patrzał barwy, i przekonałem się, że farby te tęczowe są objawicielkami życia, i że nie zimna alegorya myśl wykłada, jedno, że myśl występuje przez prawdę i życie; słowem, że to obraz piękny i bardzo piękny, i że się Rzymianie na nim nie omylili.

Na lewo piętrzy się pałac marmurowy Cesarzy, z którego schodzi po krętych schodach orszak Nerona, niesionego wraz z Popeą w złocistej lektyce. Na prawo widać w głębi ogrody Nerona, a przed nimi długie umajone kwiatami tyki, na których szczycie stoją aż po ramiona zawinięci męczennicy, co dali imię całości. Kaci nadzy rozpalają ogień, i niosą do góry, by męczenników podpalić, i szary mrok zakrywa tę mniejszą i o wiele mniej świetną połowę obrazu, podczas gdy promienie zachodzącego słońca, czyli raczej tylko łuna zachodu odbita o marmury pałacu daje nierównie więcej światła po lewej stronie. Na pierwszym planie u dołu, pod pałacem, widać grupy bachantek, kapłanów i senatorów, które zwracają najpierw na siebie uwagę, i na które najsilniej oddziaływa widok chrześcian, oczekujących śmierci z dziwnym spokojem, odbijającym od zwierzęcej prawie obojętności katów. Nie tedy męczennicy, ale ci, których ich widok nawraca, są bohaterami obrazu. Zwycięzca na drugim planie, na pierwszem zwycięztwo odniesione.

Trudno o grupę piękniejszą od tej grupy kapłanów i bachantek, i trudno o coś mniej podobnego do tego, cośmy dotąd w malarstwie polskiem widywali. Zamiast senatorów i rycerzy, zamiast olbrzymów północy, co wychodzą z pod pęzla Matejki, przyobleczeni w zbroje, futra ciężkie i hart niezłomny, widzimy tu pół nagie niewiasty o wrażliwej duszy i synów południa o klasycznych draperyach, a jednak jest tu w tej grupie, jest w całym obrazie coś, co świadczy o istnieniu jakiegoś duchowego pokrewieństwa między malarzami polskimi. Najpierw widzimy tu świetność kolorytu i bajeczną dokładność szczegółów, do którejśmy gdzie indziej przywykli, a potem i tu widzimy, jak malarz nie typy tylko, ale charaktery tworzy, i jak na każdej twarzy, wywołał inny odcień myśli i uczucia. I Siemiradzki jest dramatycznym malarzem, jeśli wolno użyć tego wyrazu, i on ma tyle myśli, że ramy największego obrazu nie mogą ich wygodnie ująć, i on budzi we wszystkiem złudzenie rzeczywistości, nie dając rzeczywistości tej spaść ze sfer poezyi i ideału. A oto może najdosadniejsza charakterystyka wielkiego malarstwa polskiego.

Osobistą własnością Siemiradzkiego czystość linii, do której chyba czasem tylko Grottger w Lituanii dorastał i pewna czułość, i pewna tęsknota przypominająca Grottgera, a może i wdzięk co przypomina Rafaela. Ale czas, byśmy wyszli z ogólników i rzucili choć pobieżny rzut oka na pojedyncze postacie, wiedząc zresztą dobrze o tem, że nie potrafimy powiedzieć wszystkiego o tym obrazie.

Na przodzie tedy, trochę na drugim planie, od strony męczenników widzimy sfingę marmurową i przepiękną płaskorzeźbę wyobrażającą żeńskiego centaura. O sfingę oparta naga prawie kobieta, co rękę do włosów wplotła. Ciało jej malowane tak, jak tylko najlepiej malować można, w postaci widoczna zalotność, lekka draperya zakrywająca z tyłu dolne części ciała naprawdę przedziwnie zrobiona, twarzy nie widać, a ręka trochę za mała. Pomiędzy jej głową a nogami sfingi wystaje męska brodata głowa młodzieńca wieńczonego białemi kwiatami. Oczy jego się iskrzą, a ciało oznacza tylko misterna draperya. Głowa ta przypomina nam trochę głowę Tarquiniusza w Lukrecyi Giorgionego w Belwederze wiedeńskim i jest równie piękna jak tamta, choć wcale nie jest ani kopią, ani reminiscencyą. Grupa to pierwsza kochanków rozpustnych, namiętnych, pogańskich, co niedba wcale o żywe pochodnie Nerona.

Równie sobą tylko zajęta druga grupa arystokratycznych zalotników, co tuż za nimi szepcze, w pstrych draperyach, przyzwoiciej a może bardziej występnie. Ona sparła się leniwie o marmury zwracając ku nam śniadą głowę Rzymianki, on, odwróciwszy ku niej twarz, pochylił się zalotnie. W misternie haftowanych szatach tej grupy przeważa barwa szafirowa. Obok nich odwraca się od widoku męczeństwa jakaś blondynka, co pewno z Galii rodem, w błękitnej szacie i z przepiękną zbolałą głową.

A teraz widzimy przed sobą trzecią grupę kochanków, piękniejszą od tamtych i wysuniętą na pierwszy plan. Jest to młody, ośmnastoletni kapłan Cybeli w czerwonej dalmatyce, różowej niby stuli i żółtej, długiej, ledwo widzianej tunice, grający na flecie, i naga prawie bachantka, której ciało z tyłu, a twarz z profilu widać. Wszystko tu przedziwne, a tylko złe umieszczenie obrazu nie dawało w pełni wystąpić harmonii linii i barw na ciele bachantki. Oboje wieńczeni kwiatami, co się koniecznie zdają kwiatami prawdziwemi. On do dna skruszony stałością męczenników, przestał na chwilę grać na starożytnym flecie, który trzyma przy ustach, i zadumał się, piękny jak jaki anioł u mistrzów odrodzenia, ona trzyma jeszcze lewicę na jego ramieniu, prawicę sparła o bębenek z grzechotkami, a uśmiech zamarł jej na uściech, jeszcze zamiera, jeszcze łza nie błysła w oku. Odtąd tych dwojga miłość przemienioną będzie; przeszła tędy łaska, i będą się odtąd kochać w bogu chrześcian, jak się kochali dotąd w Cybeli i w Atysie. Myśl wyrażona tak, jak ją chciał wyrazić Siemiradzki, a ciała i kwiaty, i biała draperya bachantki malowane tak, jak tylko można najlepiej.

Poniżej cudowniejsza może jeszcze technika i myśl wznioślejsza jeszcze. Nigdzie może niemasz wyrazu tak wzniosłego, jak w tęsknej twarzy lutnistki Greczynki, której włosy ujęte w zielone wstążeczki. Szata jej jedwabna mieni się cudnie, na szyi lśni naszyjnik ze złota i chryzolitów, malowany jakby przez czarodzieja, lira, na której spoczęła piękna ręka, z macicy perłowej naprawdę a nie z macicy malowanej, ale najpiękniejsza jej twarz o idealnych rysach i idealnym wyrazie. O pięknie pogańskiem słyszała dotąd tylko dziewicza kapłanka Apolina — dziś zaświtało jej inne piękno i cała jaśnieje już tem pięknem; będzie z niej święta. Przy niej przyklękło czarnobrewe dzikie dziewczę, opalone, nagie prawie, z liśćmi bluszczu wśród czarnych włosów, przerażone tylko, a malowane nadzwyczajnie. Ma na sobie dwie lekkie draperye, jakąś tkaninę medycką, białą i złocistą, i jakiś kawał fioletowego jedwabiu, w którym barwa fioletowa lśni tak jasno i czysto, jakeśmy tego na żadnym obrazie dotąd nie widzieli, jeźli nas pamięć nie myli. Równie niezrównanym złoty dzbanek w jej ręku

Za niemi, za kapłanką lutnistką, i dziewczęciem, legła na ziemi czwarta para kochanków, para co się rozprzęże, co się rozejść musi. Ona-to prawdziwa pogańska nimfa, co się śmieje rozpuście, o posągowem ciele, i olimpijskich liniach, ledwo zakrytych pąsową aksamitną draperyą, co jej na nogach spoczęła, godna największych malarzy, a cała pogrążona w śmiechu, i rozradowana ciałem. On, z rzymska przebrany, ma ciało równie żelazne i potężne, ale grozę tylko i przestrach na czole. Z niego będzie atleta chrystusowy, ona poganką zostanie.

A teraz podnieśmy trochę oczy, a ujrzymy przedstawicieli starej Romy, co świat podbiła, mężów w białych togach, co dziwnie pięknie malowane na tle białych marmurów pałacu. Siemiradzki tu szczęśliwie pokonał trudność, ale nie wiem, czy jej umyślnie nie szukał, czy mu nie chodziło o popis.

Najpierw tedy widzimy z tyłu atletycznego Rzymianina, w majestatycznej szacie, a potem dwóch starszych już senatorów wieńczonych kwiatami. Jeden z nich ma brzydką twarz o brutalnym wyrazie, i patrzy obojętnie na męczeństwo. To już nieidealnie piękna postać jak te, o którycheśmy dotąd mówili, ale to postać silnie charakterystyczna cynika, z poza której wygląda w półcieniu tłusta głowa śmiejącego się epikurejczyka, klasyczna w moralnej i fizycznej brzydocie.

Za nimi stoją Seneka stoik, i pewno jakiś platonik młodszy od Seneki. Platonik gani okrucieństwo ze szlachetnem oburzeniem, stoik nie pochwala marszcząc brwi, ale ani jeden, ani drugi się nie nawróci; ci co w dawnych bogów dziecinnie wierzyli, ci co im służyli, odbiegną ich ołtarzy i pobiegną do Chrystusa, filozofowie i nadal pozostaną w rozumowem wątpieniu. Tworzą oni tu, wraz z barczystym Rzymianinem, drugą całość w obrazie, bezbarwną, silną, charakterystyczną; i tu, choć nie ma barw gorących, głowy naprawdę przypominają Matejkę.

Znów dalej na lewo inną jeszcze grupę ujrzymy, inną myśl ułożoną w całość osobną. Jakiś stary Rzymianin w białej todze trzyma na kolanach tacę srebrną, na którą wypalona, starsza już bachantka, śmiejąc się kostki rzuciła. Bachantka okropną jest i demoniczną, namiętność gracza uchwycona przedziwnie w Rzymianinie, a najstraszliwiej rozpasaną mała, młoda, dziecinna bachantka co ma dwanaście lat, i śmieje się piekielnie i bije się w lice oburącz. Gdyby to nie było tak cudnie malowanem, radby się człowiek od tego odwrócił.

Powyżej sparty o estradę pijany augur, z żółtemi kwiatami na głowie, i zielonym płaszczem na ręku. Puhar wylatuje mu z lewicy, prawicą chwyta bachantkę co podobnie w zielonych szatach wyrywa mu się, z oburzeniem patrząc na męczeństwo; podobna do Diany łowczyni. A za nią w cieniu, nagie ciała, i jakaś draperya fioletowa mienią się dziko i rozpustnie. Było to podobnoś koniecznie potrzebnem dla uwydatnienia myśli artysty, ale Siemiradzki do-

brze zrobił, że i do tej grupy wmięszał rzeczy szlachetniejsze, ową zieloną bachantkę, i inną całkiem nagą z blaszkami w ręku, co się zapatrzyła z przestrachem na męczenników, w nieco trudnej w pół klęczącej pozie, wśród pełnego światła. Ciało jej arcydziełem.

Na lewym krańcu obrazu tryska źródełko z marmurowej maski, i zieloną rdzą nakrywa marmur. Nad źródełkiem wznosi się wysoki ołtarz pokrwawiony a na nim płaskorzeźba dziwi klasyczną pięknością. Pod rzeźbą siadło dwoje ludzi, gladyator dzierżący w ręku fantastyczną zbroję, i kobieta, czarnowłosa, o niegodziwym wyrazie, ponoś Lokusta, truciclelka bogato przebrana. Gladyator smutny, bo zda się dziś już ma zginąć przed Neronem. Karnacye tych dwu postaci zimne i szare, co może być tłumaczonem, ale nie wytłumaczonem przez zmrok wieczorny.

A teraz podniósłszy wzrok do góry ujrzymy dwie koryńckie kolumnady, i rydwan marmurowy nad jedną z nich odstający od szarzejącego nieba, i wielkie schody łamane pałacu Cezarów, a na schodach tłumy nieprzejrzane, nieprzeliczone. To orszak Nerona. Tu ktoś przebrał się za Herkulesa, tam kobieta przebrana w śliczną zieloną suknię, tu otyły nad miarę senator rozmawia z nadto chudym, gdzieindziej jakiś Rzymianin w czerwonym płaszczu zapatrzył się w męczenników, sunąc ręką po marmurowej poręczy, Nubijka gra na flecie, a fioletowa gaza dziwnie przezroczysta zwisła na jej ciemnych ramionach, inna Nubijka tuż przy lektyce trzyma srebrne naczynie, dama egipska z wachlarzem w ręku litośnie spogląda na męczenników, a dwie damy w niebieskich szatach i płowych głowach, przypominają najszczęśliwsze chwile Pawła z Werony. Jedna z nich plecami do nas zwrócona, druga łzawo patrzy na pochodnie. Wszystko to świetne i pełne życia, choć nie ze wszystkiem rozumiemy budowę schodów. Dalszy tłum znika na załomie schodów, a tylko jakiś brutalny senator, krzyczy *evoe*! mijając męczenników.

Ale cudem techniki jest ciężka, żółta lektyka, wśród naczyń z żółtego marmuru, niesiona przez żółtoubranych murzynów, i przykryta litą kapą, pod którą spoczywa Neron. Baldachmi lektyki jasno żółty, słupy jej złote o srebrnych podnóżkach, a złote płytki odbijają od ciemno-żółtych szat murzynów. Wyraźnie zarysowały się czarne ich profile, i jeden z murzynów nawrócony, marmur żółty szarzeje już w zmroku, a fioletowa gaza na ramieniu Cezara, czerwona poduszka, i niebieskie obicie w nogach, lśnią blaskiem prawdziwie weneckich kolorów. Macica perłowa na baldachimie niezrównana. Neron oparty o ramię, to zwierz tylko, a Popea co obok niego legła to bydlę, najohydniejsza para despotów, o jakiej można myśleć, choć piękna na ciele. Popea bawi się potrącając w palce tak bezmyślnie jak tylko być może. Koło lektyki widać przepyszne głowy jednego żołnierza i lektora jednego.

O męczennikach najmniej przyjdzie mówić, choć z wielkim spokojem oczekują srogiej męki. Kaci ci, którzy się drapią po umajonych słupach, i ci co na ziemi ogień rozpalają, szaro trzymani w nagości swojej i wyglądają trochę akademicznie. Rysowani dobrze, dobrze malowani, ale dalecy od tego cielesnego piękna, którem jaśnieją ciała bachantek.

A teraz, gdyśmy się już szczegółom przypatrzyli, możemy odstąpić od obrazu, i z daleka, z bardzo daleka spojrzeć na całość, a ujrzymy, że tak jak szczegóły łudziły z bliska, tak całość łudzi z daleka. Jesteś w pogańskiej Romie naprawdę, i patrzysz na prawdziwy pochód Nerona. Żywych ludzi mają palić kaci, żywe pstre tłumy ułożyły się przed fasadą prawdziwą namacalnego pałacu. Zmrok naprawdę zapada, niebo gaśnie, i prawdziwe iskry jaśnieją na tle prawdziwych włoskich pinii.

Gdy się raz szczegóły zna, efekt całości niezrównany, to nie sztuka tylko, to prawda, a w tej prawdzie tkwi myśl głęboka, a w Siemiradzkim witamy mistrza, co umiał się uczyć od mistrzów starożytnych i mistrzów odrodzenia, nie pozbywszy się oryginalności, nie pozbywszy się myśli polskiej, bo któryż Polak nie zrozumie, o co Siemiradzkiemu chodzi. Jednak wszystko tu dla nas cudze i dziwne, i nie jesteśmy pewni tego, czy się z tymi ludźmi rozmówić potrafimy.

A teraz niech nam wolno będzie dopowiedzieć kilka słów w tej nadziei, że je Siemiradzki usłyszy. Jeżeli potrafi obraz więcej ześrodkować; jeżeli będzie umiał się wyrzec świetnego szczegółu dla całości, jeżli się potrafi obronić i nadal od uniesień wyobraźni, będzie malował, jak mało kto malował na świecie. Już dziś dorósł najtrudniejszych zadań, już dziś układa przedziwne perspektywy i tworzy przepyszne postacie, już dziś umie tworzyć symfonię barw, choć cienie jego może nie dość ciepłe. Gdy się długo w obraz wpatrujesz, zda ci się, że słyszysz, jak zagrały raptem trąby i bębenki, dzwonki i flety, i słyszysz od czasu do czasu dźwięk liry, i pogańską pieśń. Ale to muzyka barw na dur, muzyka weselna, co nie licuje z myślą obrazu. Wyrazy są smętne, wzniosłe, a barwy weselne, i to znów nie daje zaraz ująć myśli całości. Uczta to dla oczu jakich mało, suta biesiada dla myśli; ale oczy się cieszą, gdy myśl się smuci. Jest tragiczna, jest bohaterska, i jest weselna gama barw. Siemiradzki użył gamy weselnej, a myśl wymagała kościelnej. I ztąd to pochodzi, że człowiek podziwia, że patrząc na pojedyńcze twarze i grupy, czuje, co czuć powinien, że jednak całość świetnego, pięknego, przedziwnie malowanego obrazu nie przejmuje duszy do dna jak to czynić powinna, tam gdzie rozwinięto tyle sztuki, gdzie dano dowody, że się ma w duszy i myśli najpiękniejsze ideały. Bądź co bądź, obraz ten wskrzesza najlepsze tradycye odrodzenia. Jeżlim co zarzucał, to nie na to, by ganić, jedno by przestrzedz i tłumaczyć, dla czego może niejeden krytyk mniej sumienny, pozostając pod pierwszem wrażeniem zgani arcydzieło, dla którego jestem pełen podziwienia, i któremu zawdzięczam to, że przez kilka dni doznawałem artystycznych rozkoszy.

Wojciech Dzieduszycki.

ŁUSIA BURLAK.

NOWELLA

SEWERA

na tle najprawdziwszych faktów osnuta.

„Oj dana — dana — dana —
Pod kopeczką siana.“

Dwunastoletnia dziewczynka zadrżała, przysiadła do ziemi, podskoczyła i puściła się galopem młodych nóg, w jednej ręce trzymając dwojaki, drugą podgięła do kolan spodniczkę, aby jej nie przeszkadzała w biegu.

Dana — dana — dana — falowało się w powietrzu. Wietrzyk je rozbijał i poszarpane pędził na Brzezinki, strumyk wijący się obok drogi i gnał gdzieś w górę, lub przybijał do ziemi.

Każde tętno głosu, które wraz z zapachem świeżego siana dolatywało do dziewczęcia, przyspieszało jej bieg. Pierwszy raz siano grabili tego roku, pierwszy raz niosła ojcu obiad na łąki!... Ach jaki zapach rozkoszny...

Słońce było wysoko, obejrzała się, nikogo z dwojakami na drodze, pewno już obiadują, a tatusiowi jeść się chce okrutnie. Słyszała głosy z łąk, lecz nie widziała ani kosarzy, ani grabiących dziewuch. Naprzód więc, radaby wyprzedzić własne myśli, ale cóż nieszczęście...

Na drodze, jak żydówki w szabas, wolno przestępując z nogi na nogę, pochylając się na prawo i lewo i szwargocąc między sobą, jako one, maszerowały gęsi stare z młodemi, jak rozwinięty szwadron kawaleryi, zajmując całą drogę z wyciągniętemi długiemi szyjami, podobnemi do dzid. Złośliwy syk i gęganie, oznaczające hura ataku, napełniło powietrze...

Dziewczynka stanęła, namyślając się chwilę, jakie kroki wojenne należy przedsiębrać dla szybkiego zwalczenia nieprzyjaciela.

— Przebić się przez kolumnę i pomaszerować dalej.

Decyzya nastąpiła w jednem mgnieniu oka, i w jednem mgnieniu oka przystąpiono do wykonania planu. Dwojaki zamienione zostały w taran i tarczę, pod osłoną której usiłowano rozbić nieprzyjaciół. Usiłowania się nie powiodły. Prawe i lewe skrzydła zachodząc pospiesznym marszem, otoczyły nieprzyjaciela, rażąc czerwonemi dzióbami, czerwone nożyny i suche a również czerwone łydki dziewczęcia...

Szczypania rozzuchwalonych gęsi są boleśne a tem dotkliwsze, im prędzej poznają one słabość przeciwnika.

— Należało się przebić, lub cofać. Przebiłaby się dziewczynka z pewnością, gdyby nie nadciągająca rezerwa, w postaci drugiego szwadronu. Cztery szeregi gęsi, dzióby takie ostre a nożyny tak suche. Cofnęła się pospiesznie a unikając pogoni, dwojaki postawiła na drodze, przeskoczyła rów przydrożny, wyrywając z płotu gałęź.

Trzask obrywanej gałęzi przeraził nieprzyjaciela, który nie czekając na ponowienie walki, ustąpił, przeprawiając się na drugą stronę drogi, przy akompaniamencie poważnego i umiarkowanego gęgania.

Dziewczynka pogroziła ułamaną w płocie gałęzią nieprzyjacielowi, zabrała dwojaki i poszła dalej.

Minęła szczęśliwie wieś. Za wsią ciągnęło się szeroko i długo błonie przecięte strumykiem, po za którym rozpoczynała się łąka.

„Dana dana dana“ — zadźwięczało w powietrzu, dziewczynina rzuciła się w lewo, przebiła się przez rów, wygramoliła na błonia i lotem strzały pogoniła za odgłosem.

Młode źrebaki galopem wybiegły na jej spotkanie, zbliżyły się o kilkanaście kroków, popatrzyły, zarżały, wierzgnęły raz i drugi, i pobiegły naprzód, że aż ziemia zatętniała. Za niemi wysunął się osiołek. I on lekkim kłusem podleciał do dziewczęcia, stanął, strzygł długiemi uszami, a wielkie zdziwione, na wierzchu osadzone oczy wytrzeszczał. I on także ryknął,

*

wierzgnął, i za źrebakami pogonił. Dziewczynka się roześmiała, podskoczyła jak źrebię i uszczęśliwiona dopadła na granicę łąki, do strumyka.

I znowu nowe nieszczęście! Kładka przy ścieżce znikła. Albo ją chłopcy ściągnęli, lub ludzie na ogień zabrali, przeprawa została zerwaną. Wprawdzie pochylona, skutkiem usunięcia się ziemi, wierzba łączyła oba brzegi. Możnaby było przejść suchą nogą na drugą stronę, gdyby troszkę szczęścia i odwagi! I gdyby nie dwojaki pełne kartofli i mleka z kluskami!... Mała próbowała przeprawić się, postawiła drobną bosą nogę na okrągłem drzewie, uniosła się, przyciągając powoli drugą. Stanęła, wyprostowała się, serce jej zaczęło bić mocno ze strachu nie o siebie, lecz o dwojaki, i bokiem zaczęła się powoli posuwać, aby równowagi nie stracić... Lecz gdzie tam, zaledwie parę razy przesunęła nogami, zachwiała się i chcąc uratować nie siebie, lecz dwojaki, skoczyła z drzewa na ziemię. Skok był pomyślny, tylko dwojaki straciły równowagę i zachwiały się, skutkiem czego mleko wystąpiło z brzegów płynąc po zewnętrznej stronie garnka. Mała chcąc zatrzeć ślady niepowodzenia, oblizała szybko językiem białą powłokę i rada z siebie, że cało wyszła z nieszczęścia, dwojaki postawiła na murawie, sama zaś zabrała się do szukania bezpiecznej przeprawy, w dość głębokiej na jej wzrost wodzie strumienia. Woda była wyżej kolan, grunt za to twardy, nie było obawy o upadek, zatem dwojaki przeniesione być mogły. Dla bezpieczeństwa dwojaki umieszczone zostały na głowie okrytej chustką,spodniczka podkasana, nożyny szukały trwałego oparcia, i chociaż woda zimna, bo wczoraj deszcz padał, mała szła raźno i przytomnie, zajęta myślą przeprawienia na drugą stronę dwojaków. Strumień wprawdzie nie był tak szeroki, jak Dunaj, wymagał zawsze wielkiej przezorności, stanowczości, a nawet ryzyka w przeprawie.

Śmiałym szczęście sprzyja, dzieweczka pełna niepewności i radości wyciągnęła drżącą rękę chwytając nią zieloną wypłukaną w wodzie trawę przeciwległego brzegu, nie zważając na zamoczenie spodniczki.

Łatwo zdobyć brzeg, lecz opanować go trudniej, gdy jest stromym. Tak opanować go z dwojakami na głowie nie jest łatwo. Ach gdyby nie te dwojaki, mała westchnęła szukając oczami ratunku. Jako ratunek znalazła wydobytych z ziemi kilka pręcików wierzbiny. Nie trudno było do nich się dostać, chwytając się ręką nadbrzeżnych twaw i zwolna posuwając się za biegiem wody. Mniejsza o spodniczkę, byle ratować dwojaki. Podniosła się na palcach, zdjęła z głowy drogi ciężar, pochyliła się, wyciągnęła rękę i nareszcie pochwyciła wiotkie, lecz mocne wicie wikliny.

Cóż dalej — szepnęła — co dalej...

Należało złożyć ładunek, tym sposobem uwolnić drugą rękę i wydobyć się na płaszczyznę łąki, z której głosy i śmiechy coraz wyraźniej dobiegały, świdrując w serduszko dziewczynki.

Postawić dwojaki, pełne mleka i kartofli na spadzistej pochyłości, ciężkie zadanie. Nie było innej rady, musiała puścić trzymane w ręku pręciki, aby tą samą ręką wyrobić w piasku podstawę dla niesionego ładunku. Szczęściem znalazł się spory kamień, jakby umyślnie zagłębiony do połowy w piasku.

— Wydobyć go — strzeliła myśl jak błyskawica, i mała ręka zaczęła pracować. Ochwierutany kamień, a potem zważony, wytoczył się i spadł do wody, pluskiem swym zalewając oczy naszej pracownicy.

Mniejsza o oczy, jeżeli dwojaki zostaną uratowane, przetarła je ręką i zobaczyła w połowie brzegu jamę, w którą jeden dwojak mógł swobodnie być ustawionym. Wstawiła cięższy napełniony mlekiem i kluskami, drugi przylepiony do pierwszego, a przyparty do ściany nie psuł równowagi.

Radość aż do bicia serca z dokonanego czynu. W tak ważnym wypadku nie myślimy o spodniczce, która przez pewien czas, jak balon unosiła się nad wodą, później wolno, wolno tonęła i utonęła. Dziweczka po raz drugi gorączkowo pochwyciła pręciki wikliny i z ich pomocą wygramoliła się na kolanach z wody. W dalszym pochodzie do wydobycia się na wierzch pomagały gałązki lucerny i espercety różowo kwitnące... Jeszcze jedno wysilenie i już stanęła na brzegu...

Spojrzała, łąka wysieczona gładziutko jak dywan ułożony do cienia, na niej kopki siana, a za niemi gwar, wesołość, śmiechy i śpiewy. Drżąc z niecierpliwości, wyżęła spodniczkę i roztrzepała ją, resztę zostawiając słońcu. A teraz przyszła najdrażliwsza kwestya, jak wydobyć dwojaki?! Usiadła na brzegu, nożyny spuściła po stromej ścianie szukając punktu oparcia. Nie znalazła i o mało co nie wpadła do wody. Należało szukać innego sposobu. Na łące leżał patyk, podjęła go, pomyślała, poczem uśmiechając się do siebie, wbiła w wilgotną murawę łąki tuż przy brzegu, położyła się na ziemi, a chwyciwszy się jedną za wbity w ziemię kołek, przechyliła się nad brzeg tak mocno, że aż drugą ręką sięgnęła po dwojaki. Dostała do ucha, podniosła je, wydobyła się z nad przepaści, poprawiła białą chustkę na głowie, strzepała spodniczkę, zapięła na jeden z sześciu mosiężnych guzików czerwony gorsecik i tryumfująca zaśpiewała dziecinnym głosikiem:

„Oj dana dana dana
Pod kopeczką siana!“ — pędząc do kosiarzy co starczyło sił.

Było ich ze trzydziestu razem, nie mogła więc tatusia odrazu w gromadzie znaleźć.

— Łucka, chodź tu — sam zawołał siedzący z kraja gospodarz. Dziewczynka się obejrzała, zobaczyła ojca i podeszła do niego podając mu dwojaki, z zatkniętą za drewnianą pokrywę, blaszaną łyżką.

Gospodarz nie rzekł ani słowa, odebrał dwojaki, poważnie zdjął przykrywę, wydobył łyżkę i z namaszczeniem, powoli, zadumany i wzdychający wziął się do spożycia objadu. Naprzód wyławiał kluski z mleka, a gdy tych nie stało, wziął się do kartofli tartych, nabierając pół łyżki, aby drugą połowę napełnić mlekiem.

Łucka nazwana przez matkę Łusią a na chrzcie św. Łucyą nie z Lamermoru, lecz z Myszkowa, kucnęła przy ojcu, oddalając od siebie jak mogła najdalej zmoczoną spodniczkę.

Gospodarze nie mieli ani czasu, ani ochoty badać przyczyn zmoczenia spodniczki Łusi. Oddani najważniejszej czynności dnia, spokojnie, a cicho wybierali łyżkami, każdy ze swych dwojaków, posiłek. Biedniejsi barszcz i kartofle, bogatsi mleko z zacierką i kartofle.

Kuba Burlak, ojciec Łusi, należał do zamożniejszych, w czem dowód, że na obiad jadał mleko z zacierką, a córka jego nosiła prawdziwe korale. Gruntu posiadał trzynaście morgów, z tych dwie łąk. W oborze miał trzy krowy i dwoje cieląt, krase i graniate, parę koni i jednego osła do obsługi wedle domu, nie licząc gęsi, kaczek, kur i dwóch wieprzów w karmniku, maciorki i kilkunastu prosiąt. Pani Burlakowa była gospodynią rzetelną i zabiegliwą, kochała jedynaczkę aż miło, mówili ludzie, że więcej nawet jak syna, tłustego roczniaka, który jeszcze nie wymówił ani jednego wyrazu, za to dobrze jadł, spał należycie i ssał do dziś dnia pierś matczyną, milcząc.

Spokojne a ciche dziecko, i dla tego przepowiadali, że się nie uchowa, pewno przez zazdrość, bo się Burlakom, dziękować Bogu, dobrze powodziło. Krase i graniate rosły jak zboże po deszczu, a gniada spodziewała się codzień źróbka. Burlak rzadko kiedy chodził do karczmy, ale za to pijał piwo w domu. Jakże gospodarzowi zabronić pijać piwa w domu, myślała pani Burlakowa, gdy jest sam bez się gospodarzem na trzynastu morgach, ogania gospodarstwo jak się patrzy i dziewusze kupił buty i kożuszek na zimę.

Dzięki butom i kożuszkowi, Łucya Burlak wpisana została w listę uczennic szkoły, obsługiwanej duchowo przez syna organisty. Dziewucha nie była łakoma nauki, (słowa pani Burlakowej,) tylko że jest śwarna, to odrazu wszystko do niej przylgnęło, i w niespełna rok jako tako znała się na książce, czyli umiała czytać w zimie, a przez lato dużo zapomniała. Zwyczajnie jak dziewucha, nienauczna do książki, ino do pola.

Zmuszeni jesteśmy przerwać opowiadanie pani Burlakowej o córce, bo oto gospodarz jej, pospolicie mąż, już wyjadł z dwojaków mleko i ziemniaki, zostawiając jednego i drugiego po odrobince córce na przynętę, aby się nie leniła nosić ojcu objad.

Łucya pochwyciła garnuszki, zajrzała ciekawie do ich wnętrza, wypiła duszkiem mleko, pojadła ziemniaki i gdy się ojciec układał na skoszonej trawie, aby się troszkę przespać, mała pomacała spodniczkę, czy już uschła, czy może pójść w niej do „ludzi“ i pokazać się starszym od siebie dziewuchom i chłopakom ze wsi. Obawa szyderstwa i żartów radziły jej zaniechać zamiaru i cofnąć się do domu. Niewytłumaczony pociąg, który się rodzi w dziecku a wykształca w młodzieńcu, i nazywa się ubóstwianiem natury, tęsknotą za towarzystwem, miłością kraju, przez miłość wioski rodzinnej, pchał dziewczynkę ku gromadzce rozłożonej taborem u stóp jednej kopki siana.

Nie wytrzymała i poszła. Zaledwie zrobiła parę kroków, zaczęła biedz, i niepostrzeżona przysiadła szybko, przy jednej z córek najbliżej sąsiadki chałupy Burlaków. Nikt nie zwrócił uwagi na małą; bawiono się wybornie, tylko Kasia spostrzegłszy ją, pogłaskała po twarzy.

Chłopcy dowcipkowali, dziewuchy niby od niechcenia pomagały im. Śmiali się wszyscy a najgłośniej Łusia wybuchała serdecznym śmiechem, pokazując białe zęby. Bawiono się wybornie, jak umie i może bawić się młodość bez trosk, nie obciążona przeszłością, patrząc oczami rozkoszy i szczęścia na jutro.

Kasi Bartyzelce rozpruł się gorset, a że zawsze nosiła ze sobą igłę i nitkę, zaczęła go zszywać, gdy zawołano po obiednim odpoczynku do pracy. Łusia zostawiła Kasi dwojaki, sama pochwyciła jej grabie i dalejże za drugiemi przetrząsać i grabić siano.

— Bóg ci zapłać Łusiu — rzekła Kasia — rada, że może odpocząć dłużej i szyć dalej.

— Kasiu, wstawaj! — krzyknął polowy.

— Burlaczka stanęła za nią — zawołały głosy z gromady — na co nic nie miał do powiedzenia dozorca.

Kasia została na swojem miejscu zszywając gorset, a Łusia wyprostowana, dumna, drżącemi rękami ze wzruszenia i obawy, aby dobrze wywiązać się z zadania, grabiła rozrzucone siano. Była ona faworytką wszystkich, a polowy często pijali piwo w chałupie Burlaka z gospodarzem. Pamiętny tych przyjemnych chwil — zawołał:

— Dobrze Łusiu, dobrze, na drugie lato będziesz przodownicą.

Łusia pokraśniała, wtedy jeden z chłopaków dodał:

— A na trzecie, to już Staszek wyprawi do Łusi z wódką (w oświadczyny).

Gromada zaczęła się śmiać. Staszek nasunął na oczy kapelusz, a Łusię coś chwyciło za gardło, że wymówić słowa nie mogła.

— Łusiu, przyjmiesz swatów, gdy przyjdą z wódką od Staszka?...

— Cicho, przerwał polowy — dziewucha jeszcze pacierza nie umie...

— Ho, ho — odezwał się na to jeden z chłopców, Łucka już na książce łońskiego roku czytała.

— Umiesz czytać Łusiu? — zapytał łagodnie dozorca.

— Umiałam, ale już dużo zabaczyłam — odpowiedziała cicho dziewczynka, ciągnąc grabie małemi rękami, jak umiała i mogła.

Kasi się nie spieszyło, a zdawało się, że Łusia pracuje z rozkoszą, bo aż jej pot kroplami padał na czerwony gorsecik.

— Kaśka, a nie pójdziesz ty do roboty — zawołał polowy. — Bez miłosierdzia dziewucha, nie widzisz, że Łusia ustaje.

— Ej, mnie ta nic nie będzie — odpowiedziała raźno mała.

— Ona się chce koniecznie wydawać za starą — odezwał się ten sam co poprzednio chłopak — aby jak najprędzej Staszek z wódką do niej wyprawił. Mówią, że Burlak daje siedm morgów gruntu za córką, to i Staszkowi pilno.

— Pleć, pleć — przemówiła Kasia Bartyzelka odbierając grabie od Łusi — i zostawiaj smugi siana za sobą, będę ja za ciebie grabić, zobaczysz?...

Chłopiec umilkł, a Łusia po oddaniu grabi wróciła do swych dwojaków i usiadła przy nich. Obcierając rękawem pot z czoła, patrzała oczami radości na jasne promienie słońca, zieloną trawę, skoszone siano, zabłąkane chmury na niebie i szarawy błękit. Dobrze jej było i rozkosznie, chociaż nie wiedziała dla czego, nie myślała o tem. Kochała potrzebą duszy i pragnieniem życia przyrodę, oderwana jej cząstka, objawiająca świadomość istnienia swego, miłością.

Matusia wygląda, tyle dziś roboty, dosyć więc tych rozkoszy, gdyż i w domu czekają różne niespodzianki i małe przyjemności. Mała wstała, pochwyciła dwojaki, spojrzała na Staszka piętnastoletniego wyrostka, uśmiechnęła się sama do siebie, a nie wiem co pomyślała i poszła raźno ku domowi.

Dwojaki próżne, nie było więc o nie kłopotu, ani utrapienia. Wybrała najkrótszą drogę i biegła podskakując z nogi na nogę. Przepiórka goniła ją zapraszając do żniwa, na co jej odpowiedziała Łusia:

— Ależ ja jeszcze mała jestem.

Nic to nie pomogło, przepiórka woła wciąż: „pójdźcie żąć, pójdźcie żąć“, a na drzewie przy strumieniu ukryta kukułka kukała.

— I wkiedy pójdę za mąż? — zapytała dziewczynka kukułki.

Wesoły ptaszek wykukał trzy.

— Za trzy lata, ho ho, za trzy lata będę dużą, i będę przodownicą przy żniwie. — Przyszedł jej na myśl Staszek, który się wcale nie bronił, gdy mu ją dawano i nic nie mówił. Roześmiała się, nie wiem czy ze Staszka, czy z własnych myśli, dopadając do strumienia.

Napełniła do połowy dwojaki wodą i puściła je na szybkie fale strumienia. Sama przeszła na drugą stronę, odszukała pochyloną wierzbę, urwała z niej gałęź, a goniąc dwojaki brzegiem strumyka, używała gałęzi, jako wiosła i steru.

Przyjemna rzecz bawić się w okręt zrobiony z dwojaków. Bawiłaby się długo, gdyby nie obowiązki, ciężkie obowiązki, w pośród których ukradziona godzina zabawy staje się rozkoszą. Matusia kazała przypędzić z pastwiska osiołka, należało więc dwojaki zostawić własnemu losowi, a samej pogonić po szerokiem błoniu za osiołkiem. Pasł się i rozważał jak filozof nad znikomością świata, a dobrocią macierzanki i ostu rozsianego po błoniu, albowiem grunt był ciężki i tłusty.

Poważny filozof, zmieniony po śmierci w osiołka, gdyż wierzymy w metampsychozę, zaczął uciekać truchtem, zobaczywszy małą biegnącą do niego z gałęzią wierzbiny. Gdyby nie widział gałęzi, ani by się ruszył. Gałąź zrodziła powątpiewanie w jego filozoficznym umyśle i skłoniła go do przedsięwzięcia kroków ostrożności przez umiarkowane oddalenie się od pasterki.

Łusia jednym rzutem oka zrozumiała pozycyą, i szybkością Napoleona zmieniła linję operacyjną. Udając, że się oddala od osiołka, który znów z filozoficznym spokojem zaczął przegryzać oset, okrążała go powoli, a mając na lewem szkrzydle strumień, na prawem zagrodzone płotem ogrody, pokazała się raptownie na jego tyłach i nie pozwalając mu zreflektować się, uderzyła całą siłą podobna do uraganu kawaleryi.

Napadnięty obejrzał się, spojrzał ciekawie i zanim mógł zdecydować się na stanowczy krok, gałęź atakującej spoczęła na jego grzbiecie. Wierzgnął więc tylko i pogalopował dalej, kierując swe kroki w stronę strumienia. Nic nie pozostawało małej, jak wytężyć wszystkie siły, aby nie dać czasu uciekającemu na przeprawę przez wodę, do której to czynności potrzebował namysłu i wyszukania dogodnej pozycyi, i dla tego też nacierała bez wytchnienia. Nareszcie strumień się rozszerzał, błonie zwężało, a więc i niebezpieczeństwo ucieczki minęło. Należało tylko przeforsować przeprawę przez rów przydrożny i zwrócić osiołka na prawo drogą ku wsi!

Łusia postanowiła w tak ważnej chwili wyrzucić kilkanaście pocisków, i w tym celu biegnąc za osiołkiem zbierała w zapaskę znalezione po drodze grudki gliny, jako amunicyę, którą zaczęła prażyć przeciwnika, gdy ten stanąwszy nad rowem, zaczął rozważać, co dalej począć.

Grad pocisków wyrzucony ręką przedsiębiorczej dziewczynki, zmusił go do hazardownego kroku, a że był w niezłym humorze i najedzony, jednym zamachem przesadził rów. Zagrożony z lewego skrzydła przez sprytnego wodza, udał się z początku truchtem, a później stępo do wsi.

Cel kampanii został osiągnięty, nieprzyjaciel odcięty, niedługo będzie wzięty do niewoli, zatem już spokojna poszła Łusia po dwojaki wyprawione wodą. Najlepiej rekognoskować z mostu, jako z dominującej pozycyi. Oparta o barycrę, przypatrywała się jak ładunek jej dostawszy się na szerokie wody spokojnie płynął środkiem strumienia, zbliżając się w coraz szybszym biegu do mostu. Zachodziła obawa, aby się nie rozbił o pale podtrzymujące wiązanie, a wbite w środku strumienia. Nie czekając na nieszczęście, mała zbiegła szybko pod most i za pomocą gałęzi uratowała gliniany statek od rozbicia, przyciągając go do brzegu.

Dwojaki w ręku, a osiołek na drodze ze spuszczoną głową, zadumany o soczystym krzaku ostu szedł noga za nogą.

„Oj dana dana dana“ — huknęło w powietrzu zaśpiewane cieniutkim głosikiem. Osiołek widocznie lubownik muzyki stanął i zaczął słuchać cierpliwie. Odgłos małych nóg po twardej drodze i świst gałęzi ocucił go z zadumy. Przypuszczam, że w osiołku gościła na wakacyach dusza filozofa niemieckiego, który przez lat pięćdziesiąt potęgi swego ducha, zgłębiał hamletowskie: „być, albo nie być“.

I tak we czworo, dziewczyna, osiołek, dwojaki i gałąź, weszli tryumfalnie do wsi. Niestety wieś była pusta i nikt tryumfu nie widział.

(C. d. n.)

STUDYA HISTORYOZOFICZNE

TADEUSZA KORZONA.

VICO

II.

Nowa nauka.

(Ciąg dalszy.)

Następnie dowodzi Vico, że dawne prawo polityczne rzymskie odnowiło się w feudalizmie. Gdy wiek boski minął, wtedy wassale wiejscy ukazują się w prawie feudalnem z nazwą „ludzi“, homines a ztąd homagium. Byli oni tem samem dla suzerena, czem klienci rzymscy wobec patrona, który jako pasterz Homerowski dawał im jedzenie wieczorem, gdy go odprowadzili z forum do domu. Tacy klienci osobiści zwali się vades, Wyraz ten musiał pochodzić od vas, barbarzyńcy przerobili go na was, wassas i utworzyli wyraz wassalus. „Tego rodzaju wassale są bardzo liczni w państwach najchłodniejszej północy, utrzymujących jeszcze zbyt wiele barbarzyństwa a najbardziej w Polsce, gdzie się oni nazywają Kmetos, i są rodzajem niewolników, których całe rodziny są we władzy Palatynów; rodziny te

muszą przechodzić do innych patronów; muszą to być owi przykuci za ucho łańcuchami ze złota poetyckiego czyli z pszenicy, za pomocą których można ich prowadzić dokąd się podoba aż po za Gallskiego Herkulesa“. Baron znaczy to samo, co Vir, jak to widzimy dziś jeszcze w języku hiszpańskim; parlamenta nowych królestw, to samo, co senat Romulusa. W Rzymie też zwyciężeni królowie otrzymywali swe państwa z łaski ludu prawem lenności podług formy: „Servarent majestatem populi romani“, a zatem byli lennikami. Wróciły do minium ex jure optimo i bonitarium w posiadłościach allodyalnych i beneficyalnych. Wróciły mancypacye, bo wassal składał swe ręce w dłonie suzerena przy obrzędzie inwestytury. Zgromadzenia baronów i parów są zbrojne, tak samo kwiryci przychodzili do kuryi w zbroi. Wróciło posiadanie emfiteutyczne i płacono za ziemię laudemium. Wróciły pojedynki i baronowie nie udawali się do sądów, lecz orężem rozprawiali się o pogwałcenie swych posiadłości. Polemizując z glossatorami rzymskiego prawa, którym do jasnego widzenia przeszkadzała hypoteza wieku złotego, Vico dowodzi znów, że pierwotnie plebejusze mogli być zabijani tak samo jak w Polsce, Litwie lub Szwecyi, że wszędzie były najprzód rządy arystokratyczne, i że prawo rzymskie wzięło też początek z feudalizmu.

W przeglądzie świata owoczesnego Vico widzi najwyższy stopień cywilizacyi w krajach strefy umiarkowanej, rządzonych przez wielkich monarchów, chociaż istnieją jeszcze państwa arystokratyczne.

W ostatnim rozdziale (conchiusione dell' opera) powtarza główne idee o początkach religii i uspołecznienia w życiu rodzinnem pod monarchiczno-patryarchalną władzą ojców, o rządach teokratycznych, bohaterskich, ludowych ukazujących się ostatecznie w formie monarchii. Ale w ciągu tego przebiegu historycznego naród psuje się i poddaje się namiętnościom: dumy, chciwości, zazdrości, zniewieściałości, zbytku. Cóż więc potem nastąpi. Oto opatrzność, nie znajdując już lekarstwa wewnątrz narodu, zastosuje zewnętrzne. Ponieważ naród ten z natury swej stał się niewolnikiem namiętności, więc też na mocy prawa powszechnego narodów będzie poddany pod rządy innych *lepszych* narodów w drodze podboju. Tu widzimy dwa światła rozjaśniające porządek przyrodzony: 1. kto się nie umie sam rządzić, ten da się rządzić innemu zdolniejszemu; 2. ci zawsze będą światem rządzili, którzy mają lepszą przyrodę“.

„Jeżeli zaś ludy przez czas długi gniją w tej największej społecznej niedoli, że wewnątrz nie zgadzają się na żadnego narodowego monarchę, ani też z zewnątrz nie przyjdą lepsze ludy zdobywcze „wtedy Opatrzność na taką ostateczną chorobę zadaje też ostateczne lekarstwo: ponieważ takie ludy przyzwyczaiły się na podobieństwo zwierząt myśleć tylko o swoich osobistych korzyściach... przeto najzawziętsze stronnictwa i rozpaczliwe wojny domowe zamienią miasta na lasy, a lasy na kryjówki ludzkie, a tym sposobem przez długie wieki barbarzyństwa rdza przegryzie niegodziwą subtelność ich umysłów złośliwych. Stali się oni straszniejszemi zwierzętami ze swem rozumowem barbarzyństwem, niż byli dawniej w stanie naturalnej zmysłowej dzikości, bo pod tą ukrywała się szlachetna duma, gdy tamta z podłą pychą wśród pieszczot i uścisków czyha na życie i mienie swoich przyjaciół. Uleczone tym ostatecznym środkiem opatrzności ze złośliwości rozumowej, ogłuszone i ogłupione ludy staną się nieczułemi na bodźce, powaby, przyjemności i zbytek i będą myślały tylko o koniecznych potrzebach życia. Ludzie w niewielkiej liczbie, pozostali przy obfitości rzeczy potrzebnych do życia, odzyskają towarzyskość; z powrotem pierwotnej prostoty ludów dawnego świata, staną się religijni, prawdomowni, wierni a tym sposobem wróci do nich pobożność, wiara, prawda, które są przyrodzonemi podstawami sprawiedliwości, ozdobą i upiększeniem wiekuistego porządku bożego.“

To właśnie możemy nazwać wielką społecznością narodów przez Boga rządzoną... „Ludzie sami utworzyli ten świat narodów, jest to najpierwszą i niezaprzeczoną zasadą „Nowej nauki“.. wszakże świat ten bez wątpienia pochodzi też z ducha, częstokroć odmiennego, całkiem sprzecznego a zawsze wyższego nad te szczegółowe cele, jakie sobie ludzie zakładają; a te ograniczone widoki i cele stają się środkami do osiągnienia celów wyższych, do przechowania ludzkości na tej tu ziemi. Ludzie chcieli oddawać się chuciom zwierzęcym i gubić swoje dzieci, a stworzyli małżeńską czystość i rodzinę... ludy chcą samych siebie zatracić a tymczasem odzyskują zbawienie w osamotnieniu i zmartwychwstają jak fenix. Wszystko to zdziałał duch nie los, ponieważ działali z wolnym wyborem; nie przypadek, ponieważ zawsze z takich czynów, takie a nie inne wynikają skutki (przeciwko Epikurowi, Hobbesowi, Machiawellemu, Zenonowi i Spinozie).

Kończy zapewnieniem, że „Nowa nauka“ ma zamiłowanie do pobożności i że nie masz prawdziwej mądrości bez religii. (C. d. n.)

WIARA W DUCHY

ZA NASZYCH CZASÓW

napisał

B. Kiewlicz.

(Ciąg dalszy.)

Z pomiędzy wszystkich teoryi utworzonych dla objaśnienia zjawisk spirytystycznych, jedna z nich ma najwięcej podstaw naukowych. Utworzył ją znany fizyolog Carpenter, członek londyńskiego towarzystwa naukowego, mąż, którego imię zajmuje jedno z pierwszych miejsc w nauce nowoczesnej fizyologii. Otóż ten Dr. Carpenter powiada, że rzeczywiście zjawiska spirytystyczne istnieją, lecz tylko... w wyobraźni tych, którzy je widzą. Że to co duchy mają spirytystom wypowiadać, pochodzi z ich własnego mózgu, i że pukanie stołów, pisanie stoliczków, wywołane jest działalnością muskułów, odbywającą się zupełnie bez woli a nawet i bezwiednie. To znaczy, że jeżeli położymy ręce nasze na stole, to po pewnym czasie zacznie się działalność mięśniowa, która mimo naszej woli i wiedzy pojawiać się będzie. Będziemy popychali, sami nie wiedząc o tem.

Carpenter powiada, że ruchy rąk w takich wypadkach są jak bicie serca, jak oddychanie, które się bez przerwy odbywa mimo naszej woli. Przypomnijmy sobie jeszcze parę faktów wziętych z codziennego życia, a dotyczących takiej bezwiednej działalności. Nieraz siedząc przy fortepianie, przegramy z nut bezmyślnie całą stronicę, myśląc zupełnie o czem innem, i nie wiedząc w jaki sposób doszliśmy do końca. Albo też nieraz zdarzy się nam czytać coś głośno przez długi czas, nie wiedząc wcale nic o treści rzeczy czytanej. W tych obu wypadkach palce grającego na fortepianie i usta czytającego ruszały się automatycznie, idąc w ślad za nutami lub literami. Odbywa się w tych wypadkach coś podobnego, jak gdy raz naciśniemy w lokomotywie drążek, który wpuszcza do machiny parowej parę, lokomotywa idzie dalej sama naprzód, ruchy następują jedne po drugich, i ruchy te są takie jakie jej organizmowi nadał twórczy geniusz Stephensona.

Te fakta dowodzą, że ruchy, które przez przywyknienie stały się „mechanicznemi“, mogą się odbywać bez udziału woli i bezwiednie.

Że tak się rzeczy mają przy ruszających się i pukających stolikach, dowiódł tego znakomity fizyk Faroday, badając przyrząd, który umieszczał między palcami siedzących koło stołu, a samym stołem. Przyrząd ten był tak urządzony, że wskazywał każde najmniejsze popchnięcie. I otóż przy próbach wykazało się, że ręce siedzących koło stołu popychają go, i że w chwilach, gdy nie ma natężenia mięśniowego, ruchy się wcale nie objawiają. Za każdem poruszeniem stołu, strzałka na tym małym przyrządzie wykazywała, iż pchano stół w kierunku, w którym on odbywał swe ruchy.

Przechylanie się stołu, podczas jego odpowiedzi na stawiane pytania, pochodzi od przyciskania rękami z góry na dół, i może być przyjętem jako rzecz oczywista, chyba że ktoś dowiedzie, że rzecz się ma inaczej; ci którzy twierdzą, że tu działalność mięśni nie gra żadnej roli a tylko jakieś działanie „duchowe“ lub „psychiczne“, powinni przekonać, że niema żadnego nacisku.

Interesujące wyjaśnienie odpowiedzi stolików na pytanie im zadawane, podaje dr. Carpenter, w pewnym przykładzie, którego sam był świadkiem. Pewnego wieczora był w towarzystwie dwóch dam, które zajmowały się starannie rozmową ze stolikami. Carpenter znał je bardzo dobrze i wierzył jak najmocniej w to, że osoby te nie oszukują, lecz że same bezwiednie są przez się oszukiwane. Przez dość długi czas przypatrywał się Carpenter pytaniom i odpowiedziom stawianym stolikowi i odeń otrzymywanym przez jedną z tych dam. Otóż przekonał się, że odpowiedzi stolika były zupełnie takie, jak gdyby sama pytająca sobie odpowiadała i ich charakter był zupełnie zgodny z charakterem tej damy. Widocznem było, że była to odpowiedź bezwiedna jej własnego mózgu, na pytanie, które świadomie stawiała. Wtedy przemówił do niej jak następuje:

„Sądzisz pani, że odpowiedzi są dyktowane przez jej przyjaciół duchowych, i że jej ręce są tylko narzędziem czynności duchowej, która kieruje biegiem stoliczka i każe mu wskazywać litery. Nam się jednak zdaje, że odpowiedzi otrzymywane są wytworem własnego mózgu Pani, i że nawet jej mięśnie popychają stoliczek. Możemy za pomocą łatwego doświadczenia stwierdzić, który z tych dwóch poglądów jest prawdziwym. Niech Pani będzie łaskawa zamknąć oczy i postawić jakieś pytanie, a my będziemy odczytywali wskazówki stolika. Jeżeli bowiem duchy kierują wszelkimi ruchami, to nie ma przyczyny, dla której by również dobrze nie robiły tego przy zamkniętych, jak przy otwartych oczach. Jeżeli zaś stolik porusza się jedynie za wpływem rąk Pani, to nie będzie on mógł dać żadnych odpowiedzi

gdy nie będzie kierowany jej oczyma.“ Na to odpowiedziała ta pani, że nigdy tego nie uczyni, gdyż byłby to dowód niewiary i że musi naprzód w zwykły sposób poradzić się stoliczka, który naturalnie na doświadczenie się nie zgodził. Nareszcie po długich korowodach zgodzono się na próbę i przy zamkniętych oczach stolik poruszał się wprawdzie, ale nie dawał żadnej odpowiedzi, błądził bez sensu pomiędzy literami. Dama się przekonała, że dawał on tylko te odpowiedzi, które się kryły w głębi jej własnej duszy.

Jest jeszcze inny rodzaj zjawisk, które dr. Carpenter uważa jako rzeczywiście istniejące, i na które ciągle się powołują spirytyści, uważając je za dowód, że wszystkie naukowe teorye o bezwiednej działalności mięśni są kłamane. „W jaki sposób“ — pytają się oni z miną tryumfującą — „objaśni nauka odpowiedzi, które często dają dokładny opis wypadków, o których nic nie wie ani pytający, ani żadna z osób siedzących koło stołu, a które są nawet często przeciwne ich przekonaniom?“ Naprzykład fakt taki: podczas jednego z posiedzeń u p. Dibdina postawiono następujące pytanie: „ile lat temu wstąpiła królowa angielska na tron?“ Stół wystukał datę, która sprawdzoną została w kalendarzu i uznaną za zupełnie dokładną. I gdy później pytano o wieku następcy tronu, otrzymano również zadowalniającą odpowiedź. Dalej zapytano wiele osób znajduje się obecnie w pewnym sklepie, którego pryncypał był przy doświadczeniach obecnym. Stół uderzył mocno trzy razy nogą, a dwa razy lekko się podniósł. Wtedy pryncypał rzekł, że: jest 4 mężczyzn i dwie kobiety, a więc stół powiedział nieprawdę“, lecz przypomniał sobie później, że jeden z młodych ludzi był wysłany na miasto.

I tego rodzaju zjawiska, jeżeli je wogóle istotnemi zjawiskami nazwać można, stara się Carpenter objaśnić naukowo, na zasadzie tak zwanej „bezwiednej cerebracyi“. Wiadomo jest bowiem, że wiele z swych umysłowych czynności może człowiek odbywać bezwiednie, bez udziału woli i wiedzy. Mózg jego może pracować, chociaż on sam o tem nic nie wie. Według tej teoryi, ruchy automatyczne człowieka mogą się odbywać nie kierowane myślą świadomą, lecz nawet pod wpływem wrażeń, które mózg kiedyś poprzednio odebrał, wrażeń, które w zwykłym stanie migocą nam w głowie w kształtach niejasnych, lecz dopiero wyraźnie się przedstawiają we snach, w nocnych marzeniach, albo w tych raptownych przypomnieniach, które raptem zabłyskają niewiadomo zkąd? i po co? Sir Hamilton powiedział kiedyś słusznie, że „nieskończenie większa część naszych skarbów umysłowych leży po za sferą naszej świadomości, na ciemnem dnie ducha“. I tak jeżeli raz czegoś się nauczymy, to zastosować to z czasem potrafimy tylko wtedy, gdy potrafimy wiadomości nasze wydobyć z pamięci. Są pewne wyobrażenia, które nagromadzają się jakby w magazynie, w pewnych ściśle oznaczonych szufladach, tak że je zawsze odszukać możemy. O innych zaś pamiętamy, że gdzieś są, żeśmy gdzieś je widzieli, lecz *gdzie*? o tem powiedzieć nie możemy. Przypominamy sobie jakieś fakta w ogólnych zarysach, lecz żadnych szczegółów dokładnych o tem nie wiemy. Nieraz jakieś wzruszenie gwałtowne przyprowadza na myśl obrazy i myśli od dawna zapomniane. Znane są wypadki, w których ludzie, którzy jakiegoś języka zapomnieli zupełnie i mówić nim nie mogli, potem wskutek choroby lub gwałtownego wzruszenia wchodzili od razu w jego posiadanie.

Otóż według Carpentera taka bezwiedna działalność mózgowa, czynność tych myśli błąkających się w bezwiednych zakątkach, może także wywołać i bezwiedną działalność mięśniową. Że w ten sposób ręka może poruszać stolikiem w sposób nakazany przez mózg, a przez ręce nieznany i noga tego stolika może wypisywać rzeczy zupełnie zapomniane, które jednak niegdyś odbiły się na naszym mózgu.

Jako przykład podaje Carpenter zdarzenie, które się przytrafiło jednemu z jego znajomych, znanemu pisarzowi angielskiemu. Podczas posiedzenia stolikowego, miał doń przemawiać duch zmarłego niedawno przyjaciela. Pan X. zapytał się: „Kiedym cię widział po raz ostatni?“ Stolik podał datę niezgadzającą się z tą, którą pan X. pamiętał. Jednak później przekonał się, że stolik miał racyą. Dzień śmierci jego przyjaciela zostawił wrażenie w mózgu, lecz tak słabe, że nie mógł go sobie dokładnie uprzytomnić. Dopiero działaniem bezwiednem mózgu, a w następstwie i mięśni ręki doszedł do daty prawdziwej. Mózg i ręka działały w tym wypadku zależnie jedno od drugiego, lecz sam X. o tej działalności nic nie wiedział. Zdawało mu się, że i stolik sam się ruszał i on o dniu śmierci nic nie wiedział.

W ten sopsób tłumaczy dr. Carpenter wszystkie fakta wchodzące w zakres wyżej opisany. Hipoteza jego jest bardzo prawdopodobną i dla tego też jest ona bardzo upowszechnioną.

Co się zaś tyczy zjawisk innego rodzaju, par excellence spirytystycznych, jak podnoszenie się stolików w powietrzu, zjawianie duchów i tp. uważa je Carpenter za zwykłe złudzenia lub oszustwa i do tej teoryi każdy rozsądny przyznać się musi, mimo tego nawet, że znakomite nazwiska, któreśmy poprzednio wymienili, przemawiają za pojawianiem się siły nadprzyrodzonej a przynajmniej dotychczas zupełnie nieznanej i wyłamującej się z pod wszelkich praw fizycznych.

Zwolennicy spirytyzmu mają zwykle następującego rodzaju argumenta: „Jeżeli wierzymy świadectwu Hugginsa, o stanie ciał niebieskich, do którego on doszedł na podstawie badań spektroskopowych, dla czegóż nie mamy mu wierzyć, jeśli daje świadectwo faktom spirytystycznym?“ Zamiast Hugginsa przytaczają także i inne nazwiska jak np. Crookesa, Varleya, Butlerowa, Wallace'a i tp.

Otóż odpowiedź na to jest dość prosta. Jak się pokazało, wszystkim tym panom brak szerokiej podstawy ogólnego wykształcenia, któraby ich ochraniała od zgubnego ścieśniającego umysł wpływu studyów czysto fachowych. Huggins jest znakomitym badaczem spektroskopowym; nauka ma mu niezmiernie wiele do zawdzięczenia. Lecz całe swoje życie poświęcił on na obserwacye widmowe, które przedewszystkiem wymagają starannego patrzenia na widmo i dokładnego jego mierzenia; nie miał on czasu na wykształcenie się w kierunku badań czysto doświadczalnych, a ponieważ ze zjawiskami spirytystycznemi trzeba przedewszystkiem eksperymentów, więc z łatwością można go było w błąd wprowadzić. Huggins widział prążki w widmie, więc wierzył w istnienie jakiegoś ciała w gwieździe, którą badał; gwiazda była za daleko, żeby mógł swą wiarę stwierdzić doświadczalnie; Huggins widział zjawiska spirytystyczne, więc wierzył w nie, lecz do ich sprawdzenia nie miał dostatecznego przygotowania i zresztą nie czuł nawet potrzeby.

Co do Crookesa, to wszyscy jego bliżsi znajomi twierdzą, że jest człowiekiem bardzo mało ogólnie ukształconym, i że wszystkie odkrycia w dziedzinie fizyki i chemii, które porobił zawdzięcza jedynie swej wielkiej wprawie technicznej i ciągłej niezmordowanej, mozolnej pracy. Niewątpliwie na tem polu Crookes jest mężem zasłużonym, lecz jego świadectwu co do zjawisk spirytystycznych ufać nie można, bo łatwo mógł uledz złudzeniu lub też być oszukanym, a nawet co gorsza mógł być porwanym i przekonanym gadaniami zażartych zwolenników tej nowej bałamutnej nauki.

Wszystkim innym da się w mniejszym lub większym stopniu zrobić podobnego rodzaju zarzuty. (Dok. nast.)

PANNA KAPITANÓWNA

przez

MARKA POLNICZA.

(Ciąg dalszy.)

IV.

Przy ulicy Mickiewiczowskiej, w domu pod liczbą (mniejsza którą), na drugiem piętrze, na lewo od schodów, inna tymczasem odbywała się scena w mieszkaniu pensyonowanego kapitana huzarów, pana Aleksandra de Istenhaza-Kapermann.

Pan kapitan chodził wielkiemi krokami po pokoju, widocznie czegoś zgniewany, bo cała twarz oblała się pąsem, żyły na czole nabrzmiały, a siwe gęste brwi ściągnęły się w jeden łuk groźnie najeżonych włosów! Targał olbrzymi wąs prawą ręką i zakręcał go za ucho a lewą gestykulował, klnąc z węgierska po niemiecku, to znów z niemiecka po węgiersku.

Pani kapitanowa siedziała „jak trusia“ na kanapie pod oknem i robiła na drutach kaftanik, a im prędszym krokiem chodził mąż po pokoju, im głośniej rozprawiał, im groźniej gestykulował, im gęstsze sypały się przekleństwa, tem szybciej migotały druty w jej ręku, oczko przybywało za oczkiem.

— Fryziu! ich sag dir: to już trwa za długo! już się nie mogę więcej „cierpliwić“ — es dauert halt zu lang — terrem!... Robi jej „kurę“, bass... Potztausend! obraca się w koło niej jak na szraubach — i nic — nic! nic!... Ich halt's nicht mehr aus! Gada jej w ucho Gott weiss was... i nic! Tausend-Schockschwere Not Donnerwetter noch ein mahl, niechże już raz podanie oświadczy! bo tego draba ja „pakować“ będę dzisiaj, jutro przy kołnierzu und ich werf ihn die Stiegen herunter!... terrem!...

— Możebyś mu dom wymówił, Szandor? — wtrąciła lękliwie pani kapitanowa. — Dziunia i tak nie jest za nim...

— Co to się nazywać ma: za nim — nie za nim? Milllion! Dziecko ma słuchać nie rezonować! Ona za tym, za kim ja wolę, żeby za tym być! Wart nur Fryziu! Sie wird sich schon fügen! Ha, ha, chciałby ja raz widzieć, żeby ona mi powiedzieć chciała, że ona nie chce chcieć, co ja chcę! Paperlepap!...

Wtem odezwał się dzwonek w sieni. Pan kapitan otworzył drzwi i zobaczył pana Mikołaja w galowem ubraniu.

Zrozumiał co to znaczy i nie obliczając znaczenia wyrazów, zawołał:

— No przecież!...

V.

W kwadrans później już było po zaręczynach. Zezwolenie kapitana znalazło wyraz w serdecznem objęciu konkurenta w żylaste ramiona, zanim tenże dokończył swych oświadczyn. Przywołana przez męża dla dopełnienia formalności pani kapitanowa, na podobną próbę do niej zwróconą odpowiedziała następnie kiwnięciem głowy dość chłodnem, a ucałowana w rękę przez pana Mikołaja, z niepokojem jakimś patrzała mu w oczy. Dopiero gdy na nią padło gniewne spojrzenie męża, wymuszony jakiś uśmiech przywołała na lica. Wreszcie otworzył ojciec drzwi do przyległego pokoju i zakomenderował tak, jakby wiódł przynajmniej cały pluton do ataku.

— Dziuniu! chodź tu!

Dziunia przyszła. Nogi chwiały się pod nią — zobaczyła pana Mikołaja w galowym stroju o tak rannej godzinie... i zbladła.

— Dziuniu, sprawiłaś mi radość!... Dobrześ wybrała!... Widziałem od dawna!... Pan Mikołaj oświadczył się o twoją rękę!... ja zezwalam... „das heisst“: my oboje zezwalamy. No! Dziuniu!

Dziunia stała jak martwa. Wiedziała, że nie może być mowy o oporze — ale nie wiedziała, czego ojciec w tej chwili od niej żąda.

— No! — dobrotliwym jeszcze niby, ale podniesionym już głosem powtórzył pan kapitan.

— Ojcze... wyjąknęła z cicha, jakby muszka schwytana w pajęcze sieci.

Kapitan poczerwieniał na twarzy i warknął, jakby stał przed frontem pułku, wyłamującego się z subordynacyi.

— No, Dziuniu, pocałuj mnie w rękę! I wyciągnął ku niej żylastą prawicę.

Pocałowała.

— A matkę teraz!

Dziunia rzuciła się matce na szyję i obie głośnym wybuchły płaczem.

Kapitan przytupnął nogą i zaklął coś z węgierska. Pohamował się jednak w gniewie i rozjaśniwszy twarz, uściskał raz jeszcze pana Mikołaja.

— No, panie zięciu, baby to zawsze tak! Jak się cieszą, to płaczą, same nie wiedzą czego, — a jak się smu... no, milllion! wynoście mi się ztąd do swego pokoju, bo już tego słuchać nie mogę!

Mikołaj przystąpił do panny Wandy z banalnym jakimś frazesem o łzach i perłach i o dobrej wróżbie „et caetera“, a obie niewiasty wyniosły się z pokoju.

Za drzwiami dopiero wyszeptała biedna Wandzia łkając z głębi piersi:

— Mamo... mamo..- wolałabym... umrzeć!

O kim myślała w tej chwili — może łaskawa czytelniczka odgadnie. My nie tacy domyślni — a zdaje nam się.. żeśmy już odgadli.

Pan kapitan poklepał tymczasem przyszłego swego zięcia z gorącym sentymentem po ramieniu, aż mu obojczyk w stawach zatrzeszczał. Zatarł ręce z zadowoleniem i rzekł:

— No... a teraz „lieber Schwiegersohn“, pomówmy kiedy ślub... „Grosser Kriegsrath“, cha, cha! wielka rada wojenna!

Przysunął mu fotel, sam usiadł na krześle. Pokręcił huzarskiego wąsa, twarz promieniała mu radością, a minę miał człowieka, który chce kuć żelazo póki gorące.

I pan Mikołaj miał taką minę.

— Ja „sem“ myślę... rzekł kapitan.

— Jabym chciał... zaczął równocześnie pan Mikołaj.

— Jak najprędzej! — wymówili razem.

W tej samej chwili odgłos dzwonka dał się słyszeć w sieni i przerwał dalszą rozmowę.

Kucharka drzwi otworzyła i weszła... ale o tem jutro, szanowni czytelnicy.

VI.

...... Weszło dwóch panów. Obaj starzy: jeden, znany nam już z rozmowy dwóch przyjaciół, — wielbiciel panny Wandy, łysiuteńki jak harbuz, p. Antoni, z pergaminową cerą, dużemi oczyma, z zatabaczonym sinym noskiem i z karmazynową maliną na czole. Ale kto ów drugi? kto ten mały żwawy staruszek o czerstwej, rumianej twarzy, w jasno-brązowym surducie przeszłowiecznego kroju, z sękatą laską w ręku?

— A na miły Bóg! Milllion! kogo to ja widzę! — zawołał pan kapitan ściskając staruszka. A zkądże to we Lwowie? A! w samą porę! w sam raz!.. U mnie dziś święto wielkie! wielka uroczystość! Moja córka idzie za mąż!... To mój zięć!

I wskazał na Mikołaja.

Przedłużyła się o kilka cali (przepraszam!... cale w Galicyi zniesiono, — o kilka centymetrów) przedłużyła się długa twarz pana Antoniego i *łypnął* dużemi oczyma z nienawiścią na Mikołaja. Mały, siny nosek skurczył się jeszcze bardziej niż zwykle, malina na czole krwią nabiegła.

A mały staruszek spojrzał z podełba na teścia i na zięcia, widocznie srodze zaambarasowany i jakby mimowolnie wybąknął pod nosem:

— Tak? zięć? już?... a to!...

I zerknął badawczo na pana Antoniego.

— Już! — powtórzył raz jeszcze przeciągle cienkim swoim głosem. I obrócił się ku niemu, jakby wyczekiwać miał odpowiedzi.

Teraz dopiero spostrzegliśmy, że i pan Antoni był także we fraku i w paliowych rękawiczkach... tak jak pan Mikołaj.

Jedwabny cylinder przekładał z ręki do ręki, karmazynowa malina na czole stawała się ciemniejszą, *łypał* oczami nieustannie.

A pan kapitan zacierał ręce, ściskał wszystkich po kolei i nieposiadał się z radości.

— Ale!... prawda! Ojciec nie zna!... Nie zaprezentowałem... mego... mego zięcia kochanego! P. Mikołaj***, właściciel Leśnej-Wólki!

I znowu poklepał „zięcia“ po ramieniu, jakby drzewo rąbał siekierą.

— A to — rzekł do niego — to mój teść! pan January Czecieczewicz!... to dziadek twojej żony, panie Mikołaju... twojej narzeczonej, chciałem mówić!...

Mikołajek stanął jak wryty. Tryumfująca jego mina w jednej chwili znikła bez śladu. Usta otworzył szeroko i jedno tylko wyrzekł słowo, mniej niż słowo, jeden tylko wydobył z głębi wykrzyknik:

— A!

Nie witał się, nie kłaniał, nie uśmiechał. Nic! — Skamieniał.

I nic więcej. I była cisza, która trwała z pół centymetra... (przepraszam! chciałem powiedzieć: z pół minuty), a po tej ciszy znowu jedna tylko samogłoska wydobyła się ze ścieśnionego przerażeniem gardła pana Mikołaja:

— O!...

VII.

— Wszystkiemu tyś winien!

— Ja?

— Tak! Na co było umieszczać ową korespondencyę z Jasła w kronice? Mam podejrzenie, że to ty ją sam napisałeś, aby mnie wystrychnąć na dudka...

— Ależ Mikołaju! co za przypuszczenie! W jakimżebym to robił celu! Dwie naraz nadeszły do redakcyi korespondencye o jego śmierci... wiedziałem, że Czecieczewicz stary i chorowity: — myślałem, że prawda...

— Dobryś! „stary i chorowity!“ Gdzie tam! Czerstwy i rumiany, a prosto się trzyma jakby kij połknął. Zdrów jak rydz! On przeżyje mnie i ciebie!... Ach, nieszczęście! nieszczęście! cóż ja teraz pocznę!...

— Ha, trudno! pogódź się z twoim losem.

— Nie mogę! nie mogę!... Za nic w świecie!... Ona nie ma nic... nic... formalnie nic! Jak turecki święty!.. A tom sobie dał bobu!...

— Et, sam nie wiesz czego ci się zachciewa! Leśna-Wólka wystarczy na was oboje...

— Ale co mi gadasz! wiem ja co ona warta. Ledwie dla mnie wystarczy. Musiałbym biedę klepać całe życie i u siebie samego za ekonoma służyć.

— To zerwij! Nic łatwiejszego.

— Dobrze ci mówić: zerwij! — czy zapomniałeś o kapitanie? Onby mnie zabił, kościby mi połamał jak Fredziowi!...

— Eh, zabić przecie nie zabije: nie bądź tchórzem. Co zbije, to zbije — jak dwa a dwa cztery, ale nie zabije...

— Dobrze ci mówić: „nie bądź tchórzem!“

— No, to ucieknij. Świat szeroki.

— Ba! dokąd? Do Leśnej Wólki? On mnie i tam odszuka. Porwie mnie jak jastrząb gołębia i dostawi na ślub do kościoła.

— A na kiedyż dzień ślubu oznaczony?

— Od dziś za dwa tygodnie... za indultem!.. Co tu robić! co robić!

— Odwlekaj. Powiedz, że musisz wprzódy dom urządzić, — kupić meble, konie, powóz...

— Czy sądzisz, że nie mówiłem! On mi na to, że to wszystko nie potrzebne...

— Że musisz krewnych twoich zaprosić.

— Ba! kiedy ich nie mam. Nie mam ich wcale — prócz pana Kalasantego, który już tu przybył, nie wiedzieć na co i po co. Potrzebna bardzo figura! Pomoże mi w kłopocie właśnie tyle, co i ty teraz... Ach, żebym ja przynajmniej wiedział, kto mi tego figla wypłatał!

— Sameś go sobie wypłatał. Czemuś się tak pospieszył z oświadczynami!

— Ba, czemu!.. Jakem wyczytał tę nieszczęsną korespondencyę z Jasła, bałem się, aby mnie kto nie wyprzedził. Komu to na myśl przyszło? komu to na myśl przyszło sfabrykować tę wiadomość o śmierci starego i o tym testamencie!

— Zalecałeś się do panny, kompromitowałeś ją... może komu z ich familii zależało na tem, abyś się prędzej zdecydował.

— Aj, prawda!... Wiesz co, toś nie głupio pomyślał... toby mogło być!... hm, hm... kapitan! o, pewnie sam kapitan! daj go katu!... a to szczwany lis!... to mnie złapał! Powiedz szczerze, przyznaj się, ty wiesz, ty pewnie wiesz... widzę z twej miny, że wiesz kto to pisał... Co? kapitan?

— Nic nie wiem.

— Ejże?... Ale się domyślasz?

— Niczego się nie domyślam. I na cóż ci się zresztą przyda dochodzić kto to zrobił. Stało się i kwita.

— Stało się, oj stało się! Jak tu z tego wybrnąć! Ajajaj! ajajaj!..

I dłoń po desperacku przyciskając do czoła, przemierzył Mikołajek kilkakrotnie pokój wszerz i wzdłuż.

Nic to nie pomogło, żadna myśl nie zaświtała w głowie. Florek przypatrywał mu się z widocznem zadowoleniem. (C. d. n).

Z ALBUMU HALINY.*)

Jest tam naród na północy
Co o Bożej stoi mocy,
Co się górnie niósł;
Bo niósł światło i swobody
W dzikie kraje i narody
I jak orzeł wzrósł!

By potopu święte rószcze,
Niósł on w stepy, w czarne puszcze
Wiarę prostych dusz,
I gdzie tylko się pojawił,
Pan Bóg ludziom błogosławił
Aż po krańce mórz!

Bóg sterował jego skrzydłem!
Bóg mu jeden był wędzidłem,
I tutaj i tam!
Gdy wyleciał, świat się zdumiał,
Ale nikt go nie zrozumiał—
Orzeł został sam ..

Tylko słońcu być jednemu,
Tylko Bogu być samemu,
Orzeł zmylił szlak —
„Patrzcie! jak się w locie zwinął!
Patrzcie, orzeł pada — zginął" —
Wrzasnął drobny ptak.

A gdy orzeł padł na skałę,
Sćmiły chmury niebo całe,
Bo bez orła świat!
I przysiadło marne ptactwo
Króla ptaków — i robactwo
Toczy go i gad.

Orle! Orle! tyś kość z kości!
Pisklę serca i światłości.
Nie tak Tobie żyć!
Tyś w obłokach bujał panem,
A dziś: orłu — pelikanem
Padło w swiecie być.

Rozkrwawiłeś piersi Twoje
Na boleści i na znoje,
Jakich nie znał świat.
I jak matka piersią mleczną,
Ty Twe dzieci krwią serdeczną
Jeszcześ karmić rad.

I pierś Twoja niby źródło,
Bije ciągle krwią nie schłódłą
Z niezgojonych ran —
I krwi dzieci, we krwi toną
I świat patrzy w krwawe łono,
A krew waży Pan!

Wincenty Pol.

(Wiersz ten bez daty, napisany prawdopodobnie najpóźniej w r. 1850, co ztąd wnoszę, że znajduje się na pierwszej karcie albumu, tuż po nim zaś na 2iej karcie, jest wiersz nieznanego poety z datą: 2go września 1850.)

*) W miarę rozpowszechniania wynalazku fotografii, przepadał zwyczaj zbierania i przechowywania pamiątkowych autografów w albumach. Niedawneż to jeszcze czasy, jak każda pensyonarka, każdy student, zbierali sobie skrzętnie płody muzy młodzieńczej swych rówienników, a i starsi i poważniejsi rozdawali sobie wzajem w upominku serdeczne myśli, spisywane w albumach. Dziś zatracił się zwyczaj, dawne albumy przepadają w zapomnieniu, zaledwie tu i owdzie znajdzie się cenniejszy tego rodzaju pamiętnik.

W albumach tych spotkać było można imiona najznakomitszych osób, obok skromnych podpisów sąsiadów i przyjaciół; z albumów możnaby niejednę perłę poezyi wydobyć jak z konchy, a nawet czynićby to należało, bo słowa mistrzów narodu, choćby się w kółku przyjacielskiem ukryć chciały, do narodu należą.

W okolicy naddniestrzańskiej, w starożytnym dworze przezacnej rodziny, znalazłem album nader cenne, bogate pamiątkami, jakie w niem najznakomitsi ludzie złożyli. Muzycy nasi, jak: Kątski, Lipiński, Wieniawski, Madejski itd., z obcych Liszt i Kessler, umieścili w niem krótkie kompozycye. Patryoci jak Dwernicki i Smolka złożyli swe podpisy, a cała plejada poetów naszych złożyła się na przepiękny zbiór poezyi. Spotykamy tam utwory: Pola, Ujejskiego, Deotymy, Wężyka, Jabłońskiego, Zakrzewskiego, Szajnochy, Koźmiana, Kaczkowskiego, Fredry (ojca), Morawskiego (jenerała), M B. Antoniewicza, J. N. Kamińskiego, Leszka Borkowskiego, Berwińskiego, Libelta, z młodszych: Starzeńskiego i Bełzy, a wszystkie własnoręcznie wpisane i podpisane.

Sądzę, iż prawdziwą przyjemność sprawiłem czytelnikom „Tygodnia." uprosiwszy sobie u zacnej właścicielki albumu, aby te z prawdziwym pietyzmem przechowywane pamiątki ogłosić drukiem pozwoliła. W chwili obecnej, gdy forma poezyi przybrawszy najmisterniejsze kształty, właściwą jej istotę stłumiła, gdy bawiąc słuch, nie dotyka serca, radzi uciekamy się do czystej natchnień krynicy, z której dawnych poetów płynęła poezya. Śród zbiorku, który wam przesyłam, znajdzie się może niejedno, co raczej pamiątkową, niż artystyczną posiada wartość, jednak śród prawdziwych kwiatów poezyi i te opadłe listeczki zebrałem pilnie, jako pamiątkę po tych, co gdzieindziej potężniej piórem władali.

Album to — jak świadczą daty — dawne, gdy właścicielka jego uroczą była Haliną, ztąd też i „Pamiętnik Haliny."

W Stryju 14. stycznia 1878.

Cz. O. P.

PLOTKI I NIE-PLOTKI

WARSZAWSKIE.

IV.

(Dokończenie).

Potrzeba nam odrodzenia na każdem polu, w każdym kierunku. Inicyatywa musi i powinna wyjść od publiki, inaczej od narodu. Cóż kiedy publika Warszawki, jak każdego dużego miasta, lekka, żywa, bawiąca się, a przytem leniwa, nie umie ani sformułować swych zapatrywań, ani żądań. I dla niej powagi są powagami, i imponują jej... Inicyatywa zatem musi wyjść od jednostek... Lecz gdzież ich szukać? Możeby się znalazły, cóż gdy są biedne, nie znane i nie uznane...

Naprzykład „Bluszcz," pismo najbogatsze, ozdobione największą liczbą prenumeratorów, pod redakcyą pani Maryi Ilnickiej i sekretarza jej p. Krzemińskiego, pismo kobiece dla kobiet... Zapytuję się szanownej redaktorki i jej sekretarza, niech mi pokażą choć jeden talent *niewieści* wyszły z pod ich opiekuńczych skrzydeł, po 10cio letniem redagowaniu „Bluszczu?" A tyle się pisze i tak uroczo w łamach tegoż pisma o cichej, łagodnej, poczciwej, *naszej* emancypacyi kobiet, gdy tymczasem ani Orzeszkowa, ani Morzkowska nie pisują do „Bluszczu." „Bluszcz" jest patryotyczny, miły, wygłaskany i poczciwy, ale jakże nudny. Od dziesięciu lat jedno i to samo. Od dziesięciu lat jednakowo i na jednę nutę obrabiane kwestye spraw kobiet. Gdy się skończy Beata, wjeżdżają Saryusze, po nich idą długie i nudne Nowiny z Paryża, czasem krótkie Listy Kraszewskiego, recenzye Lubowskiego i niekiedy „Gawędki"... Ach te gawędki, do których potrzeba koniecznie tabaki, nie żeby je zaostrzyć, lecz aby nad niemi nie usnąć...

W ostatnich czasach „Bluszcz" zaczął drukować śliczną nowelkę Jeża pt. „Wyśniona." Tylko to wybicie oka kijem jest fatalne. Już to Jeż nie byłby Jeżem, gdyby zawsze czegoś bolącego nie wtłoczył do swych pełnych zalet prac.

Wszystko tak jak było,
Tylko się ku starości nieco pochyliło!

Takie jest godło naszych wydawnictw, i nic ich poruszyć, zentuzyazmować nie zdoła! Trzeba zmiany stosunków i nowego pokolenia.

Przepraszam za nieustanne zwroty, przerywania i brak ciągu. Lecz ponieważ o nic innego mi nie idzie, jak o scharakteryzowanie naszego społeczeństwa, notuję to, co jest na porządku, prosząc aby czytelnik sam sobie ułożył całość, a następnie wyśpiewał ją w duszy lub z nut, jeżeli je na ten temat skomponuje jedna z artystycznych powag.

Wiadomo jest czytającemu światu, że Świętochowski w „Ojcu Makarym" dość niezręcznie dowodzi, jaką krzywdę wyrządza społeczeństwo samemu sobie i jednostkom, uświęcając w wierze katolickiej bezżeństwo księży.

Parę tygodni temu ni z tego, ni z owego w łamach „Przeglądu Tygodniowego" wyskakuje list od księdza katolickiego, dopominający się zniesienia celibatu z gwałtownością i natarczywością rozjątrzonego namiętnościami młodzieniaszka...

Ponieważ popi schizmatyccy mają żony, nic dziwnego, że i propaganda owego księdza w *Przeglądzie* zniesienia celibatu zakrawała poprostu na zrobienie stanowczego kroku ku schizmie w kościele katolickim królestwa?!... Nie posądzam „Przeglądu Tygodniowego" o tendencyjne usiłowania uprzątania zawad rządowi moskiewskiemu, lub chęci schlebiania mu, robię tylko uwagę, do jakich rezultatów dochodzi się w walce quand même. Jak namiętności ludzi zaślepiają walczących początkowo z dobrą wiarą, gdy za szlachetne usiłowania i sprawiedliwe a odważne wystąpienia, traktują ich pogardą i z cynizmem mocniejszego, który uważa za swój obowiązek maltretować słabszych, za to jedynie, że ci mają odwagę powiedzieć mu prawdę! nie w imię własnych interesów, lecz w imię spraw społeczeństwa. Do czego może dojść zaślepienie i rozdrażnienie w nierównej walce, z ospałością i stagnacyą, zdradza najlepiej ten fakt, że ludzie, których żadną miarą nie można posądzać o zdradę, zaślepieni w propagandzie liberalizmu, występują z insynuacyami, których mógłby im pozazdrościć Katków lub podlejszy od niego perekińczyk, naprzykład wynarodowiony Rusin nazwany przez Moskali chachoł, który stał się dla miłych stu rubli dochodu na miesiąc najczujniejszym w nikczemności psem caratu moskiewskiego.

Któż temu winien, że aż doszło w zapasach do tej spadzistości? Kto? jeżeli nie towarzystwo warszawskie, które nie umiało ani stać się rozjemcą, ani rozdzielić się na obozy, ani wziąć w obronę słabszego, ani szczerze i rzetelnie zainteresować się toczącą walką.

Społeczeństwo warszawskie śmiało się, klaskało i bawiło się, nie rozumiejąc, że to szło o nie samo, nie rozumiejąc, że walczono o żywotne kwestye zrodzone w łonie tegoż społeczeństwa, że walczono o jego przyszłość i duchowe jego swobody. Ono widziało tylko plotki i skandale! Prasa po większej części przyjęła propozycyę redakcyjnego księdza milczeniem pogardy. Lecz znalazły się i protestacye: Jacek Soplica

podciągnąwszy hebanowe swe wąsy w górę, tak przemówił piórem:

„Do licznego szeregu społecznych naszych trosk i dolegliwości, z którémi nie tak prędko uporać się będziemy w stanie, źli lub ograniczeni ludzie usiłują ze swéj strony dołożyć jeszcze swój judaszowy srebrnik. Jeden z takich pieniążków zabrzaknął fałszywym akordem w szpaltach „Przeglądu Tygodniowego“ w formie listu napisanego jakoby przez katolickiego księdza . . . . . .

„Przypuszczamy, że jeżeli autor jest istotnie księdzem, to należeć musi do jakiejś surowej reguły, która z jednej strony odcięła go od świata i ludzi, tak, że nie wie, co się dzieje dokoła, z drugiej pozbawiła go zdrowych zmysłów, których wykolejenie podyktowało mu wzmiankowany list, będący wyrazem nie już skrajnego radykalizmu, ale prostego obłędu konwulsyonera, targającego się na spokój *domowy*, którego utrzymanie być winno pierwszym obowiązkiem prawego obywatela.“

Widzicie, że i my umiemy kąsać, jeżeli mamy ofiarę, chociaż tym razem w zupełności podzielamy wystąpienie Jacka.

Szanowny pan Jan Jeleński, praktyczny ekonomista warszawski, umysł ruchliwy, wyszukujący zawsze coś nowego, napisał w ostatnich czasach broszurkę p. t. „Niemcy, żydzi i my,“ którą pewno macie we Lwowie. W broszurze tej dowodzi cyframi, że Niemcy nie są tyle straszni dla nas co żydzi, z których przepowiada i oblicza, kiedy ma nastąpić potop zalewający Polskę... Broszurka ta narobiła wiele hałasu w Warszawie, bo uważaną była przedewszystkiem za skandal i dla tego, rzecz niesłychana, w paru miesiącach doczekała się trzech czy czterech wydań. Wszyscy nieprzyjaciele żydów zachwalali ją, wszyscy przyjaciele ganili. A ponieważ przeważna część wydawnictw naszych jest w rękach żydów, pracownicy w tej części musieli żydów bronić i bronili. Jeleński w przedmowie jednego z wydań wspomnionej broszurki, chłoszcze swych przeciwników z pewną junakieryą i donkiszoteryą, a wielką zarozumiałością o swych zasługach, między innemi napada i na p. Krzemińskiego.

Pan Krzemiński jest współpracownikiem „Kłosów“ (Lewental), a współredaktorem „Bluszczu“ (Glücksberg), i z samej pozycyi musiał bronić swych chlebodawców. Ponieważ należy do powag, oburzony do żywego śmiałością ekonomisty, odpisał i wydrukował, że Jeleński jest osłem, i dał do zrozumienia, że jest i zbrodniarzem, że nic nie umie, że na niczem się nie zna i że z nim więcej nie gada i nie odpisuje mu, gdyż jego zawsze musi być na wierzchu. Tak postępuje we wszystkich wypadkach i wszelakich polemikach, albowiem jest powagą, co nie przeszkadza, że osobiście jest najzacniejszym człowiekiem. I gdyby nie był powagą i nie mieszkał w Warszawie, niezawodnie uważałby się za zwyczajnego śmiertelnika i omylnego.

Zgadzam się na to, że pan J a n J e l e ń s k i nie jest orłem, ale przyznać muszę, że jest pracowitym i wytrwałym, że się w tej posusze krząta i robi co może, przynajmniej budzi do życia, a co już przy ogólnej apatyi i niechęci, bardzo wiele znaczy. Zgadzam się na to, że drażnić stosunki społeczne bez możności zaradzenia im, nie jest ani zręcznie, ani politycznie. Zgadzam się i na to, że p. Krzemiński jest powagą, lecz co do wielkości radzibyśmy zobaczyć coś jej godnego, oprócz ładnych i zgrabnych życiorysów lorda Macaulaya i Reicha, oprócz prowadzenia polityki w „Kuryerze Warszawskim,“ korekty w wydawnictwie tłumaczeń Glücksberga, sekretaryatu w „Bluszczu“ i autorstwa „Kobiet Szekspira...“ Wielka rzecz „Kobiety“!?... Grudziński pisze „Kobiety dramatów Sofoklesa,“ i nie ma się za większego od Sofoklesa, dla tego jedynie, że Wiktor Hugo powiedział, jako geniusze są sobie równi. To uspokoiło Grudzińskiego i nie chce się wywyższać. Milczy, czekając aż dzieła jego będą tłumaczyć Niemcy. Uszanujmy i tę skromność...

Otóż jak się przekonać możecie, kochani Galicyanie, w przyszłej waszej Lodomeryi nie ma krytyki, bo jej w obecnym stanie społeczeństwa i stosunków wydawnictw być nie może, lecz za to jest zjadliwa polemika. Nie żałują się, i kąsają do krwi, ci co mają zęby. Ci co ich nie mają kłują, ślinią i zapuszczają jad... Albo wzajemna admiracya i reklama, albo walka nie o zasady, lecz o godność osobistą i powagę—na gołe łby... Nie idzie o wyświecenie prawdy, ale o napaść, pobicie i schowanie się do nory.

Saint-Saëns był, grał i odjechał.

— No cóż Saint-Saens? — zapytałem zdybawszy na ulicy sprawozdawcę muzycznego.

— Osioł — odpowiada mi — wyobraź sobie gra Szopena jak Bacha! a na organach zamiast symfonii wygrywa szansonnety...

— A napisałeś, że Saint-Saens w muzyce „streszcza siebie samego i odsłania nam najpiękniejszą cząstkę swej duszy.“

— Cóż chcesz, abym pisał? Saint-Saens przyjechał z Paryża, tłumy zbiegały się na jego koncerta Mam się wystawić na śmieszność?...

— Nigdy — zawołałem — broń swej powagi...

— Bądź spokojny — odparł mi muzykant — i poszedł...

Kradzieże, rozboje i morderstwa... Wszelkiego rodzaju szczegóły wiecie pewno z dzienników warszawskich. Lecz słuchajcie i zważcie u siebie! Pierwszy krok na drodze konstytucyi!? Moskale pozwalają krytykować sądy i policyantów?! Że się mury cytadeli warszawskiej nie zatrzęsły, to należy do fenomenów.

Nie opisuję wypadków, bo nie mojem zadaniem i celem kronika dnia. Radbym być plotkarzem serc, myśli i duchą narodu! Radbym dosięgnąć do trzewi i niemi zatargać, aby przez śmiech i szyderstwo wydobyć rumieńce na twarze, a ręce zmusić do zaciśnięcia się w pięście. Radbym, aby głos oburzenia i gniewu rozlegał się w przestrzeni, i, i, poczciwi ludziska przekonali się nareszcie po wybuchach, irytacyi, że nie są geniuszami, bohaterami i męczennikami, tylko ludźmi, którzy swe wady znać powinni i zrozumieć, że są tacy, że wielu jest takich, którzy je widzą, lecz mało takich, którzy mają odwagę pisać o nich. Radbym, aby poczciwi ludziska raz nabrali świadomości, że spełniać swe zwyczajne obowiązki, że pracować cicho na kawałek chleba, a okruszyny rzucać społeczeństwu, nie jest ani bohaterstwem, ani poświęceniem, ani męczeństwem, tylko najzwyczajniejszym obowiązkiem każdego człowieka!...

Znać siebie samego i wady społeczne trzeźwo ocenić, to połowa zwycięztwa... I za te usiłowania wasi deklamatorzy gniewają się na mnie?! Przebaczam im!

Obdzierają na ulicach, a mogą mordować!? Ach gdybyście widzieli mordercze narzędzia naszych pokojowo-bohaterskich Lowelasów, stalowe pierścienie, kaskety, laski ze sztyletami, krucice, włosy by wam stanęły na głowie, albo łysiny okryły krople potu. A gdybyście widzieli, z jakim szykiem młodzi Lowelasy w bawialnych pokojach pokazują damom, jak się bronić będą w razie napaści, jak używać stalowych pierścieni i kasketów, gdybyście widzieli, o ile miny ich są bosko-groźne, a ruchy lamparcie, mrużylibyście oczy i bylibyście blizcy omdlenia jako owe damy, patrzące się na przerażające zamachy i nieustraszone gesta zapaśników gladyatorów...

Tymczasem na Wschodzie krew się l-je naprawdę i obficie, walki są straszne i przerażające swą okropnością, a w liczbie walczących piąta część Polaków... Nikt jednak na przerażające wieści ze Wschodu oczu nie zmruży, i żadna z dam nie jest bliską zemdlenia..

No i na maleńkim przykładzie dokładnie odróżnić można szczere uczucie od sentymentalizmu. Nasze Warszawianki, mówiąc po warszawsku, są grubo sentymentalne, i dla tego wyglądają tak powabnie, uroczo, pełne są westchnień, i zabłąkanych uśmiechów, wszystkie żyją tylko wyłącznie poświęceniem... Ach to poświęcenie, nie raz nam mężom stoi kością w gardle, gdyż prawie zawsze do owego poświęcenia potrzebne są pewne przybory, jako to: nowe z ciężkiej materyi suknie (im droższe, tem poświęcenie większe), modne kapelusze, świeże pióra, kwiaty paryskie, choć nasze narodowe, patryotyczne, polskie, bardzo ładne, cóż, kiedy tańsze?!

— O naszych patryotycznych, narodowych, polskich kwiatach mówi się, bardzo dużo się mówi — odpowiada poświęcająca się połowa — ale kupuje się paryskie! — zawoła i z poświęcenia tupnie małą nóżką.

Dalej do poświęcenia potrzebne są rękawiczki zapinane na guziczki aż po łokcie, i jeżeli nadejdzie chwila żebranin z poświęcenia dla biednych — koniecznie sobole, chociażby tylko kołnierz i rękawki. Te, które nie będą miały soboli, przysięgły, że nie będą poświęcać się, i nie będą żebrać.

Miałem pisać o „Niwie,“ o kolejach żelaznych, o konstytucyi, o drożyznie, węglach, rautach adwentowych, modach i bazarach. O namiocie Róży Potockiej, o Don Juanach bazarowych... lecz już zapóźno.

Ciekawy jestem, jak Plotki moje wyglądają w druku. Dla czego tylko pisma krakowskie, jako kontrabanda dostają się do Warszawy, a o waszych ani słychu. Czy to czasem nie jest winą waszego lenistwa?...

Warszawa dnia 10. grudnia 1877 r.

HEKTOR SERVADAC

PRZYGODY W PODRÓŻY

PO ŚWIATACH SŁONECZNYCH

przez

JULIUSZA VERNE'A.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ XXI.

W którym ujrzymy jak miłą niespodziankę robi natura pewnego pięknego wieczora mieszkańcom Gallii.

Pieczara ta, było to w samej rzeczy cudowne pomieszkanie, ogrzane, oświetlone, gdzie łatwo pomieścić się mógł cały niewielki światek Galii. I nie tylko Hektor Servadac i jego „pod-

władni“, jak lubił wyrażać się Ben-Zuf, mogli tam mieszkać wygodnie, ale i dwa konie kapitana i znaczna ilość zwierząt domowych mogła tam znaleść schronienie aż do końca zimy galickiej — jeżeli zima ta miała mieć jaki koniec.

Ogromne to zagłębienie — zaraz to poznano — było, powiedziawszy prawdę, tylko ujściem utworzonem przez dwadzieścia korytarzów, które rozgałęziając się w głębi masy tu się schodziły. Ciepłe powietrze podnosiło się tam do temperatury znacznie wysokiej. Rzekłbyś, że w samej rzeczy gorąco przesiąkało przez mineralne pory góry. Otóż pod temi grubemi sklepieniami w zabezpieczeniu od wszelkich niedogodności klimatu podbiegunowego, przezwyciężając zimno, choćby to było największem, wszystkie żywe istoty nocnej asteroidy znajdowały pewne schronienie — dopóki wulkan był czynnym. Ale jak słusznie zauważył hrabia, żadna inna góra wybuchająca ogniem nie była dostrzeżona podczas podróży *Dobryny* przy obwodzie nocnego morza i jeżeli ten jeden otwór służył za ujście wewnętrznemu ogniowi Galii, to wybuch widocznie mógł trwać całe wieki.

Szło więc o to, by nie tracić ani dnia, ani nawet godziny. Podczas gdy *Dobryna* mogła jeszcze żeglować, należało powrócić na wyspę Gurbi, wybrać się z niej prędko, przenieść na nową siedzibę ludzi i zwierzęta, umieścić zboże i furaż i ostatecznie ulokować na Gorącej Ziemi, nazwisko bardzo słusznie nadane tej wulkanicznej części przylądka.

Szalupa tego samego dnia powróciła na wyspę Gurbi i zaraz następnego dnia wzięto się do dzieła.

Chodziło o wielkie przezimowanie; na wszelkie wypadki trzeba było przygotować się. Tak jest, przezimowanie wielkie, długie, może nieskończone, nierównie groźniejsze, aniżeli owe sześć miesięcy nocy i zimy, jakie wytrzymują żeglarze na morzach arktycznych! Bo któż w samej rzeczy mógł przewidzieć chwilę, w której Galia wyzwoloną zostanie z lodowych więzów? Kto mógł powiedzieć, że w ruchu swym idzie ona po linii eliptycznej i kiedyś znowu zbliży się do słońca?

Kapitan Servadac zawiadomił swych towarzyszów o szczęśliwem odkryciu, jakie zrobił. Nazwisko „Gorącej Ziemi“ przyjęte zostało radośnie przez Ninę, a zwłaszcza przez Hiszpanów. Opatrzności tak dobrze wszystko urządzającej oddano hołd należny.

W następnych trzech dniach *Dobryna* odbyła trzy podróże. Ogromnie obładowana przewiozła ona naprzód furaż i zboże, które złożono w głębokich dołach, mających służyć za magazyny. Dnia 15. marca skaliste obory zapełniły się domowemi zwierzętami, wołami, krowami, owcami i wieprzami, około pięćdziesięciu sztuk, które zamierzano zakonserwować dla utrzymania rasy. Inne, które zimno miało wkrótce zniszczyć, miały być pozabijane w tak wielkiej ilości, jak tylko można, ponieważ zakonserwowanie mięsa w tym surowym klimacie było łatwe. Mieszkańcy Galii zatem mieliby zapas ogromny. Przyszłość zabezpieczoną została, przynajmniej dla teraźniejszej ich liczby.

Co do kwestyi napoju, to tę bardzo łatwo było rozwiązać. Naturalnie, że należało poprzestać na wodzie; ale tej wody nigdy nie mogło zabraknąć ani latem, dzięki strumieniom i cysternom wyspy Gurbi ani w zimie, ponieważ zimno zamrażało wodę morską.

Podczas gdy tak pracowano na wyspie, kapitan Servadac, hrabia i porucznik Prokop zajmowali się urządzeniem pomieszkania na Gorącej Ziemi. Należało pospieszać, gdyż już lód nawet o południu opierał się prostopadłym promieniom słońca. Otóż dla transportów trzeba było zużytkować morze, dopóki to było jeszcze wolnem, aby potem nie przebywać je z trudnością po stężałej powierzchni.

Urządzenie rozmaitych zagłębień znajdujących się w górze wulkanicznej, przeprowadzone było z wielką trafnością. Nowe poszukiwania wykryły nowe galerye. Góra ta podobna była do wielkiego ula, obfitującego w komórki. Pszczoły — to jest koloniści — z łatwością tam się pomieściły i w bardzo dostatecznych warunkach wygody. Owo urządzenie otrzymało, na cześć małej dziewczynki, nazwę Ula Niny.

Pierwszem staraniem kapitana Servadac i jego towarzyszów było, jak można najlepsze, wyzyskanie na codzienne potrzeby wulkanicznego ciepła, które natura wytwarzała bezpłatnie. Otwierając gorącym strumieniom lawy nowe pochyłości, przeprowadzono ją do miejsc gdzie miała być zużytkowaną. Tak kuchnia *Dobryny*, umieszczona w miejscu odpowiednio urządzonem, była odtąd lawą ogrzewana; Mochel, kucharz galioty, prędko oswoił się z tym rodzajem ogniska.

— Ach, mówił Ben-Zuf, co za postęp! gdyby to w starym świecie każdy dom miał zamiast kaloryfera mały wulkan, nie potrzebujący ani centyma na utrzymanie!

Wielka pieczara, owo główne zagłębienie, ku któremu zbiegały się galerye, przeznaczona na salę wspólną i umeblowana głównemi sprzętami z szałasu i *Dobryny*. Żagle galioty zdjęto i przeniesiono do Ula Niny, gdzie rozmaity zrobiono z nich użytek. Biblioteka *Dobryny*, dobrze zaopatrzona w znakomite dzieła, umieszczoną została w sali głównej. Stoły, lampy, krzesła, uzupełniały umeblowanie; ściany ozdobiono mapami *Dobryny*.

Powiedzieliśmy, że ognista zasłona oddzielająca przednie zagłębienie od głównego, ogrzewała i oświetlała je zarazem. Ta katarakta lawy wpadała w małą kotlinę, okoloną ramą ze skał, zdających się nie mieć żadnej komunikacyi z morzem. Był to widocznie otwór bardzo głębokiej przepaści, której wody zapewne utrzymywały się w stanie płynnym, podczas gdy zimno lodowaciło całe morze Galickie. Inne zagłębienie, znajdujące się w głębi, na lewo od sali wspólnej, tworzyło specyalny pokój kapitana Servadac i hrabiego. Porucznik Prokop i Ben-Zuf zajmowali zagłębienie w skale na prawo; znaleziono nawet z tyłu miejsce, w którem urządzono pokoik dla małej Niny. Co do marynarzów i Hiszpanów, to ci urządzili sobie sypialnię w galeryach przytykających do głównej sali, a która dzięki kominowi głównemu, wcale dobrze była ogrzana. Wszystko razem tworzyło Ul Niny. Mała kolonia, tak rozlokowana, mogła bez obawy czekać na długą i ostrą zimę, mającą zaskoczyć ją w Gorącej Ziemi. Mogła ona bezkarnie znosić tam temperaturę, którą w razie gdyby Galia znalazła się wciągniętą w orbitę Jowisza, byłaby tylko dwudziestą piątą częścią temperatury ziemskiej.

Ale podczas przygotowań do przenosin i wpośród tej gorączkowej ruchliwości, którą zarazili się nawet Hiszpanie, cóż działo się z Izaakiem Hakhabut, który pozostał na swoim statku przed wyspę Gurbi?

Izaak Hakhabut, zawsze niedowierzający, głuchy na wszelkie dowody, które przez ludzkość przytaczano mu, by pokonać jego nieufność, pozostawał na pokładzie *Hanzy*, czuwając nad swemi towarami jak skąpiec nad skarbem, mrucząc, jęcząc, spoglądając na horyzont, ale napróżno, czy jaki okręt nie ukaże się przed wyspą Gurbi.

Zresztą nie było go w Ulu Niny i nikt za nim nie tęsknił. Izaak formalnie oświadczył, że nie wyda swoich towarów inaczej jak za gotówkę. Więc kapitan Servadac zabronił zaraz by kupowano u niego, lub też brano cokolwiek. Chciał się przekonać czy ten uparty człowiek ustąpi wobec konieczności, która rychło się pojawi i wobec rzeczywistości, która go przecież przekonać powinna.

Zresztą widocznem było, że Izaak Hakhabut żadną miarą nie przypuszczał niebezpieczeństwa sytuacyi, zagrażającego małej kolonii. Zawsze jeszcze wyobrażał sobie, że znajduje się na kuli ziemskiej, której kataklizm zmodyfikował tylko pewną część i liczył na to, że prędzej czy później znajdzie wszelkie środki opuszczenia wyspy Gurbi, by znowu rozpocząć swój handel na brzegach Śródziemnego morza. Niedowierzając nikomu i niczemu, wystawiał on sobie, że zrobiono przeciw niemu jakąś zmowę, by go obedrzeć z jego mienia. A więc nie chcąc być wyprowadzonym w pole, odrzucał hypotezę tej ogromnej bryły oderwanej od ziemi i uniesionej w przestrzeń, a niechcąc być obrabowanym czuwał dzień i noc. Ale w ogóle, ponieważ wszystko dotąd kazało przypuszczać istnienie nowego ciała niebieskiego, wędrującego po świecie słonecznym, — ciała zamieszkałego tylko przez Anglików w Gibraltarze i kolonistów na wyspie Gurbi — więc Izaak Hakhabut napróżno wodził swoją starą lunetą, posztukowaną jak rura od pieca, po horyzoncie; nie dostrzegł żadnego okrętu, ani żadnego handlarza, któryby zamienił swe złoto na towary *Hanzy*.

Nie był jednak Izaak Hakhabut nieświadomym projektów przezimowania, które do skutku przyprowadzono. Naprzód, według swego niezmiernego zwyczaju, nie chciał temu wierzyć; ale widząc jak *Dobryna* odbywa częste podróże na południe, zabierając z sobą zbiory z pola i zwierzęta domowe, zmuszony był przypuścić, że kapitan Servadac i jego towarzysze przygotowują się do opuszczenia Gurbi.

Cóż się stanie z nim, nieszczęśliwym Hakhabutem, jeżeli koniec końców, wszystko, czemu nie chciał wierzyć, okaże się prawdą? Jakto? więc on nie byłby już na morzu Śródziemnem, ale na Gallickiem! Już więc nie ujrzy swojej niemieckiej ojczyzny! Nie będzie frymarczyć z prostakami w Tripoli i Tunis? Ależ byłoby to jego ruiną!

Natenczas zauważano, że częściej opuszczał swój statek i mięszał się do grup majtków i Hiszpanów, którzy nie szczędzili mu docinków. Próbował jeszcze ułaskawić Ben-Zufa i ofiarował mu tytuń, którego ordynans nie przyjmował „z rozkazu.“

— Nie, stary Zabulonie, — mówił mu — ani odrobiny! Taki rozkaz! Sam zjesz cały swój ładunek, wypijesz go i puścisz z dymem, Sardanapalu!

Izaak widząc, że nie może nic wyjednać u „świętych,“ przybliżył się do „Boga“ i pewnego dnia zdecydował się sam zapytać kapitana Servadac, czy wszystko to było prawdą, licząc na to, że oficer francuski nie zechce oszukiwać takiego biedaka jak on.

— Ależ tak jest, do wszystkich piorunów! tak jest! wszystko to prawda! — odpowiedział

Hektor Servadac — zniecierpliwiony takim uporem, masz tylko czas schronić się do Ula Niny!

— Niech Przedwieczny i Mahomet ma mnie w swojej opiece! — mruknął Izaak, jako prawdziwy renegat odwołując się w dwojaki sposób.

— Czy chcesz trzech lub czterech ludzi by przeprowadzili *Hanzę* na nowe miejsce do Gorącej Ziemi? — zapytał kapitan Servadac.

— Chciałbym popłynąć do Algieru; — odrzekł Izaak Hakhabut.

— Powtarzam ci, że Algier nie istnieje.

— Na Allacha! czy to być może?

— Po raz ostatni zapytuję, czy chcesz wraz z twoim statkiem przenieść się do Gorącej Ziemi, gdzie będziemy zimować?

— Litości! przepadły moje towary!

— Nie chcesz? No, to przeprowadzimy Hanzę wbrew tobie i bez ciebie w miejsce bezpieczne!

— Wbrew mnie, panie gubernatorze?

— Tak jest! nie chcę bowiem by twoja uporczywa głupota zmarnowała cenny ładunek bez żadnej dla kogobądź korzyści.

— Ale będzie to moją ruiną!

— Prędziej będzie ruiną, jeżeli pozwolimy ci postąpić według twego zdania, — odrzekł Hektor Servadac, ruszając ramionami. — A teraz idź do dyabła.

Izaak Hakhabut powrócił do swego statku, podnosząc w górę ręce i narzekając na niesłychaną drapieżność ludzi „nieczystej rasy."

Dnia 20. marca roboty na wyspie Gurbi ukończono. Nie pozostawało jak tylko odpłynąć. Termometr spadł średnio na ośm stopni niżej zera. Woda w cysternie nie przedstawiała już ani jednej cząstki płynnej. Postanowiono więc, że na drugi dzień wszyscy przeniosą się na *Dobrynę* i opuszczą wyspę, ażeby schronić się w Ulu Niny. Ułożono się również, iż przeprowadzona tam będzie i *Hanza*, pomimo wszelkich protestów jego właściciela. Porucznik Prokop oświadczył, że jeżeli *Hanza* pozostanie na kotwicy w przystani Chelifu, to nie zdoła oprzeć się naciskowi lodów i niechybnie będzie zgruchotana. W zatoce Gorącej Ziemi, lepiej osłoniętej, będzie bezpieczniejszą, w każdym zaś razie, gdyby znalazła się narażoną, przynajmniej ładunek jej będzie mógł być uratowany.

Dla tego też w kilka chwil po podniesieniu kotwicy przez galiotę, *Hanza* również wypłynęła, pomimo krzyków i przekleństw Izaaka Hakhabuta. Czterech majtków wsiadło na nią na rozkaz porucznika i po rozpuszczeniu wielkiego przedniego żagla, statek-magazyn, jak go nazywał Ben-Zuf, opuścił wyspę Gurbi i zwrócił się ku południowi.

Jakie były narzekania renegata podczas przeprawy i z jakim uporem powtarzał on, że postępują wbrew jego woli, że on nikogo nie potrzebuje, że nie żądał żadnej pomocy — to trudno opisać. Płakał, szlochał, jęczał — przynajmniej wargami — gdyż nie mógł przeszkodzić małym swym oczkom, by nie miotały błyskawicami z po za fałszywych łez. We trzy godziny potem, gdy go należycie ulokowano w zatoce Gorącej Ziemi, gdy przekonał się, że zabezpieczony jest sam i jego mienie, ten, ktoby zbliżył się ku niemu, zdumiałby się nad niedwuznacznem zadowoleniem jego wzroku, a nadstawiwszy uszu usłyszałby wymrukiwane te wyrazy:

— Na ten raz darmo! O, głupcy! o, idioci! darmo mię przewieźli!

W tych wyrazach odzwierciedlał się cały człowiek. Darmo! Wyrządzono mu usługę „darmo!"

Teraz wyspa Gurbi została ostatecznie przez ludzi opuszczona. Nie pozostawało już nic na tym ostatnim szczątku kolonii francuskiej, wyjąwszy dzikich zwierząt i ptactwa, które uniknęło sideł, a które zimno miało wkrótce zniszczyć. Ptaki spróbowawszy, czy nie ma gdzie dalej miejsca dogodniejszego, powróciły na wyspę — co było niezbitym dowodem, iż nigdzie nie istniała żadna ziemia, któraby mogła je wyżywić.

W dniu tym kapitan Servadac i jego towarzysze uroczyście zajęli w posiadanie nową swą siedzibę. Wewnętrzne urządzenie Ula Niny wszystkim się spodobało, i każdy się cieszył, że został tak wygodnie, a zwłaszcza tak ciepło ulokowany. Tylko Izaak Hakhabut nie podzielał ogólnego zadowolenia. Nie chciał nawet wchodzić do galeryi, ale pozostał na pokładzie swego statku.

— Obawia się zapewne, powiedział Ben-Zuf, by go nie zmuszono do opłacania czynszu! Ale to nic! Wkrótce stary ten lis będzie wyparowany ze swego schronienia, zimno wygoni go z jego nory!

Wieczorem urządzono ucztę, której potrawy gotowane były przy ogniu wulkanicznym. Cały mały światek zgromadził się we wspólnej sali. Liczne toasty, do których wino dostarczyła piwnica *Dobryny*, wzniesiono na cześć gubernatora generalnego i jego „rady administracyjnej". Ben-Zuf, naturalnie znaczną część tego wziął do siebie.

Było bardzo wesoło. Hiszpanie odznaczyli się podtym względem. Jeden z nich wziął gitarę, drugi kastaniety i wszyscy śpiewali chórem. Potem Ben-Zuf dał się słyszeć ze słynną „spiewką zuawów," dobrze znaną w armii francuskiej.

Następnie zaimprowizowano bal — bez wątpienia pierwszy w Galii. Marynarze tańcowali po swojemu, co bardzo przypadło do gustu publiczności, nawet po fandangu Hiszpanów. Jeden taniec, bardzo znany w Elysée-Montmartre wykonany został przez Ben-Zufa z taką elegancyą i energią, iż zasłużył na najszczerszy komplement Negrettego.

Była dziewiąta godzina, gdy się zakończyła ta inauguracyjna uroczystość. Natenczas uczuto potrzebę odetchnięcia świeżem powietrzem, gdyż dzięki tańcom i temperaturze zrobiło się naprawdę gorąco w wielkiej sali.

Ben-Zuf poprzedzając swych przyjaciół zapuścił się w główną galeryę, wychodzącą na wybrzeże Gorącej Ziemi. Kapitan Servadac, hrabia i porucznik Prokop szli za nim krokiem nieco wolniejszym, gdy wtem hałas dający się słyszeć zewnątrz, zniewolił ich do przyspieszenia pochodu. Nie był to jednak wykrzyknik wywołany trwogą, ale oklaski, okrzyki hura! zahuczały jak strzały karabinowe w tej atmosferze suchej i czystej.

Kapitan Servadac i dwaj jego towarzysze przybywszy do wejścia do galeryi ujrzeli wszystkich skupionych na skale. Ben-Zuf z ręką zwróconą ku niebu, był w postawie znamionującej zachwyt.

— O, panie gubernatorze generalny! o, ekscelencyo! — zawołał ordynans tonem radośnym, trudnym do opisania.

— Cóż tam? co jest? — zapytał kapitan Servadac.

— Księżyc! — odrzekł Ben-Zuf.

W samej rzeczy księżyc wynurzał się z mgły nocnej i po raz pierwszy ukazywał się na horyzoncie Galii! (C. d. n.)

POGADANKI O WŁOSZECH.

(Ciąg dalszy.)

Jak charakter, postać, tak też mowa choć z jednej łacińskiej, bez zaprzeczenia, bierze początek, śpiew, obyczaje, odrębną cechę noszą w każdej prowincyi. Łatwo się to da wytłumaczyć; gdyż przez długie czasy drobne owe państwa chińskimi murami niezgody, przesądów, nienawiści rodowych i obcych wpływów były oddzielone. Geograficzna budowa długiego półwyspu, przez środek którego biegnący Alpejski łańcuch, przybierający nazwy Apenin w środkowych, a Abruzzów w południowych częściach, wyseła swe ramiona przez całą szerokość od morza do morza, tworząc obszerne przestrzenie ku morzu otwarte, a między sobą znów niższemi górami oddzielone. Na tych przestrzeniach naturą odgraniczonych, roślinność, grunt, płody, są rozmaite, a zwyczaje jeszcze rozmaitsze. Są tu doliny z trzech stron wzgórzami osłonione od wiatrów, jak Toskania; równiny szerokie, jednostajne smętnym Padem przecięte, opierające się o Alpy z jednej, a Apeniny z drugiej strony, gdzie ryż i pszenica bujają, tyki zielenią się jak okiem dosięgnąć można; pracowity, cichy wieśniak lombardzki orze krową ciężką ziemię w pocie czoła, lub po pas zanurzony w wodzie, uprawia wśród szkodliwej woni ryż, którym żyje rok cały. Pagórkowaty Piemont z drugiej strony Apenin między Alpami Liguryi, a tak zwanemi „Alpe Marittime" zamknięty, uprawia kukurudzę z równą starannością jak bogate winnice; z żółtej mąki polentą żyją tłuste piemonckie dzieciaki, a winem szlachetnem, mocnem, pożywnem, spijają się chętnie w święta i uroczystości ich ojcowie. Skalista Ligurya opiera się o swoje marmurowe góry, mając przed sobą morze; posiada mało zboża, ale dużo wybornych owoców, na romantycznych jej skałach więcej kwiecia zobaczysz, i to takiego, jakie u nas w szklarniach ze staraniem pielęgnują, jak zasobów do pożywienia służących; marmury różnych odcieni ciągną się wzdłuż wybrzeża aż do Toskańskiej granicy, ludność żyje albo wśród białych grot, gdzie tanie owe marmury, albo z morza i na morzu. Żyzna, śmiejąca się kwieciem i owocami Toskania, grunt ma lekki, — zaledwie rydlem niedbale wieśniak porusza, i rzuci weń ziarno wygrzane a nie spalone słońcem, wyda plon obfity; za nią ciągną się wzdłuż morza Śródziemnego smętne, puste błota, na których zimą pasą się liczne stada owiec, latem szczyty Apenin zamieszkujących. Na przeciwnym stoku, do Adryatyku zwróconym, ziemia żyzna, dobrze uprawna, wystarcza na wyżywienie ludności, a morwy do chowu jedwabników; dalej na południe również taki sam charakter przedstawiają, z jednej strony puste, skaliste, kasztanami u szczytu zarosłe, a w tęsknych niby słońcem spalonych podgórzach niknące w morzu Abruzze; z drugiej wybornie uprawne i do sądu podobnemi równinami w Adryatyku się topiące. Sycylia, jak się raz (co daj Boże! w interesie Włochów jak najprędzej) otrząśnie z rozbójników, kamorzystów i ciemnoty ludu, stanie się znów ogrodem Włoch, jak była spiżarnią za rzymskich czasów; słowem, ów do buta podobny półwysep, posiada wszystkie odcienia klimatu i rodzaje gruntu.

Od naszych jodeł tatrzańskich na szczytach Apenin rosnących, aż do palmy afrykańskiej na sycylijskiem wybrzeżu słodkie daktyle niosącej,

znajdziesz tu, choć niestety! w niewielkiej liczbie; bo Włosi wandalicznie wyniszczyli swe lasy, ptactwo i zwierzęta, w które niegdyś obfitował kraj; a dziś sami brak ich opłakują; znajdziesz lipy, klony, brzozy, topole, osiki, buki i graby; cytryny, pomarańcze i granaty, zdobią wzdłuż morwów sadzone włościańskie nawet sady i warzywne ogrody; po polach, w długich, gęstych rzędach, siedzą morwowe i brzoskwiniowe drzewa, grusze i jabłonie; czereśnie i morele tulą się przy domach, nad którymi królują rozłożyste szerokolistne figowe drzewa, oplecione w zwoje winogradu, natrętnie obejmującego uściskiem wszystko, dokąd swe ramiona rubinowych gron pełne, wyciągnąć tylko może.

W powietrzu latem miliony owadów przelatują; ukryte wśród liści drzew a szczególniej platanów sykule, czyli wielkiego rodzaju koniki polne, ogłuszającym chrzęstem prawią o skwarze słońca, w którym się lubują; nocami pola i oliwne gaje błyszczą tysiącami latających piroforów, zwanych „luccioli,“ jasność ta ruchoma weselem napełnia całą naturę; wonie klematilów, winogron i akacyi w płoty sadzonych, upajają zmysły; nad głową niebo błękitne, bez chmurki, na którem ciągną się długie smugi świetlane niezliczonych światów; szum morza głucho dolatuje z przestrzeni, a szmerem odpowiadają mu posępne szare oliwy.

Odbiciem błękitu nieba, wesela ziemi, płomiennych serc, i gorącem słońcem rozpalonych głów, są naturalnie śpiewki ludowe; znajdziesz tam całą gamę uczuć od kolebki począwszy do grobu; dziecię do pączka wiosennej róży jest porównywane, i śni o latających złotych muszkach świetlanych; ukochane dziewczę ma usta jak kwiat granatów a oddech z jaźminu i fiołków woni, w pieśniach z namiętną tęsknotą pod jej oknem śpiewanych; wybranego duszy w rymach, rozkochanem sercem natchnionych, zdobi ona w giętkość i wysmukły wzrost palmy, bujającej na skalistem wybrzeżu; wiek dojrzały i troski nieodstępne życia rodzinnego mają pociechę w opisie złocistych pól, obfitych, bogatych kłosów, wieńcach winnej latorośli, do której ramiona matki, tulącej u piersi rozpłakaną dziecinę, mają być podobne; wojennych uczuć, którymi pała pierś mężczyzny, na wspomnienie niedoli i ucisku domowego, radości, że dziś owe łany na wolności uprawiać może; starość, do zachodów słońca tonącego w morzu i cichej gwiazdzistej jesiennej nocy nuci hymny błagalne o śmierć spokojną. Wszystko śpiewa o tem, co ich otacza; uśmiecha się w kolebce, przyspiesza bicie serca w młodości, buduje wiek dojrzały, pociesza smętną starość. A że o miłości dźwięczą harfy i gitary kochanków, czasem i nie zbyt harmonijnemi tonami, nic dziwnego. Wyjdź na morskie wybrzeże, kiedy cichy księżyc leje potoki światła na wzdychające w uścisku spragnionej ziemi roznamiętnione morze; usiądź na wzgórzu otulonej leciuchną błękitną mgłą jakby zasłoną dziewiczą, którą z niecierpliwością oblubieńca podnosi wietrzyk od morza wiejący, i znów spuszcza jakby blaskiem olśniony; posłuchaj szmeru roślin w słońcu się lubujących i woniami szlących miłośne poselstwa w wyższe strefy; owady złociste upadają na ich gorejące łona i rozkosznie się w nich zatapiają; natura cała nieustanną pieśń miłości nucić się zdaje, człowiek za jej przykładem mimowolnie dodaje jeden dźwięk więcej do ogólnej harmonii.

W poezyę i literaturę tegoczesną wkradła się niestety! przesada i jakieś mdłe naśladowania niesmacznych francuskich pisarzy, cukrowem piórem germańskich adeptów pisane. Liczni, arcyliczni poeci, o strasznie długich czuprynach, brodach i ascetycznie niby natchnionych obliczach, piszą, deklamują owe nędzne płody ich wyobraźni, ciężko je na świat wydającej, w których częstokroć język przeraziłby w grobie biednego Danta, do przekleństw i złorzeczeń zmusił namiętnego śpiewaka z Asti Alfierego, szyderstwem napełnił gorzkiego Leopardi lub satyrycznego Giusti; jest to bowiem mięszanina świętokradztw żargonu francuskiego z płaskiem naśladowaniem napuszonego czasem stylu chwały pełnego „cinquocento“; gburowatem narzeczem Lombardyi, albo wpół szczekającego Neapolu; myśli tuzinkowe, poobwijane w łachmany pozbierane tu i ówdzie, przedstawione jak maryonetki na dziecinnych teatrzykach, w których wszędzie druty sterczą i sznureczki wiszą; jest tam coś o ojczyźnie, o sławie, zmięszane jak groch z kapustą z rozumowaniem płytkiem o stworzeniu, naturze i miłości płaczliwej, jeszcześ do połowy nie doszedł a ckliwość cię opanowała; znużony ziewasz, jakbyś miał próżny żołądek. Boże odpuść dzisiejszym poetom włoskim, daj im nawrócenie na lepszą drogę, albo opatrz nagniotkami, odmrożeniami; i choć tym sposobem wytrąć pióro z ręki, inaczej w cóż się obróci dobry smak przyszłych pokoleń!

Prozatorowie są uczciwsi nieco, nie braknie im na lekkim dowcipie, sprytnych porównaniach, choć nie mają tej „verve“ Francuzów, ani „humour“ angielskich pisarzy; piszą sobie od niechcenia, ot tak sobie, aby zapełnić fejletony dzienników, lub dostać się do upragnionej zapłaty księgarskiej i błyszczeć za oknami sklepów przynajmniej, jeżeli nie na stolikach eleganckich salonów, gdzie ich prawie nie czytują; mężczyźni zajęci sprawami publicznemi z zapałem neofitów, kobiety toaletą, próżnością i ploteczkami, odkąd galanterya i nieodstępni tradycyonalni „sigisbei“, przezdzieli się w moralniejszym bez żadnej wątpliwości rozwoju życia domowego; wykształcenie kobiety włoskiej jest dotąd szczególniej w środkowych i południowych Włoszech na bardzo niskiej stopie, choć w północnych znacznie się polepszyło. W romansach tych pisanych bez smaku i wdzięku, zawsze Adolf kocha Celinę przez dwa grube tomy, jeśli się uda; schną z miłości, umierają lub się pobierają; głowy, serca ludzkie, są ich pisarzom tak nieznane jak sybirskie stepy; zaglądają oni do pokojów i mebli, ale dusz ludzkich nigdy nie zwiedzili; tworzą nędzne, do francuskich nagich malowideł kobiet w salonie, co rok chudsze, wystawionych podobne istoty, co mówią prostym, trywialnym językiem, banalne rzeczy o pogodzie i deszczu, przekonani, że górnolotnie i filozoficznie rozmawiają; nikt tak nie chodzi, nie kłania się, nie wzdycha, nie siada, nie kicha, jak ich bohaterowie i bohaterki z kartonu; bo też ten papierowy świat jest tak bibulasty, że jeden silniejszy krok a wszystko przez dziurawą szmatę wyleci... w nicość. (Dok. n.)

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 3. lutego.

Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, powiada przysłowie, tak też i dla kronikarza waszego pośliźnięcie się i śmierć nagła jednego z urzędników Towarzystwa ubezpieczeń posłuży za temat do wycieczek przeciw niedbałemu utrzymywaniu chodników publicznych. Wprawdzie urzędowe źródła zapewniają, że on wprzód umarł nim upadł, i że z tego powodu tylko do Pana Boga rodzina jego może mieć pretensyę, jednak gdy i inny kandydat do zabicia się ogłasza w „Dzienniku Polskim“ o swoim upadku na śliskich chodnikach, wypadałoby, aby szanowny Magistrat pomyślał nad tem, że nie wszyscy wprzód umierają, co upadają, i że przed śmiercią gotowi objaśnić publiczność o przyczynie swej katastrofy... Szanowny Magistrat widocznie co do tej kwestyi ślizgania, wszystkich sądzi podług mocy nóg swoich, i jest przekonany, że na wzór jego całe miasto powinno stać twardo. Winszujemy mu tedy tak gruntownej pozycyi, ale nie radzimy zbyt jej zaufać. Ministeryum Auersperg-Lasser podobnie przez lat sześć myślało, a jednak pośliznęło się na nafcie wprawiając w zmartwienie wszystkie przyjacielskie organa urzędowe i nieurzędowe, które od tygodnia z otwartemi usty patrzą w przedsionki ministeryalne, ażaliż nie powstanie jeszcze. Gdyby się było wprzód zabiło nim upadło, jak nieprzymierzając śp. Zagórowski, pochowaliby je z wszelkimi honorami, rzuciwszy po trzykroć zmarzniętą ziemię na jego mogiłę z życzeniem, aby mu była lekką... a potem nakręciwszy korbę swej katarynki na nutę naprzykład Herbst-Giskra lub coś w tym rodzaju, wygrywaliby cały regestr urzędowych melodyi... A tak? sytuacya bardzo niepewna i delikatny węch dziennikarski nic nie pomoże... ukłon jest gotowy, brakuje tylko obrazu. Co do nas, nie mając czem łez obetrzeć, które to ministeryum przez czas swego urzędowania Galicyi wycisnęło, śpiewamy mu „do widzenia,“ bo to już takie mamy szczęście, że ani przyjaciół, ani nieprzyjaciół naszych od lat stu pozbyć się nie możemy.

Z okazyi nagłej śmierci śp. Zagórowskiego, którego życie spędzone na usługach sprawie narodowej mlekiem i miodem nie płynęło; musimy zanotować szlachetny czyn jego kolegów, którzy rozebrawszy pomiędzy siebie referat nieboszczyka, przez trzy miesiące obowiązali się odrabiać tę czynność, aby tylko przyjść z pomocą jego osieroconej rodzinie... Pokazuje się więc, że biją jeszcze serca szlachetne we Lwowie, że przyjaźń i koleżeństwo ma swoją cenę między ludźmi pracy i niedoli, co spodziewamy się oddziała i na szczodrobliwość samej instytucyi dla przyniesienia ulgi rodzinie swego urzędnika.

No, teraz już na pewno zaręczyć możemy czytelnikom, że Lwów zacznie się bawić. Jak utrzymują dzienniki, komitety balowe uwzięły się, żeby zapowiedzianym zabawom wszelkie powodzenie zapewnić. Rozesłano setki biletów zapraszających, rozlepiono afisze z dyabelskiemi sylwetkami, uproszono kolekcyą najpowabniejszych gospodyń, muzyka tylko drży z niecierpliwości, aby urżnąć od ucha, czegoż więcej brakuje? dobrej chęci i sukienek nowych. O pierwsze podobno nie ma obawy, a co do drugich, słyszeliśmy, że toczą się dość szczęśliwe rokowania z kieszeniami pap i mężów, i mamy nadzieję, że prędzej zostaną załatwione, niż układy z Bankiem Narodowym o wicegubernatorów.

Wśród wiru karnawałowego, gdy w głowach pięknych czytelniczek dźwięczą ostatnie zwrotki walców i polek, kto myśli o ruchu na polu literackiem. Że tam krytycy i pseudo-dowcipnisie gryzą się w różnych pogadankach, kronikach i kącikach, mało publiczność to wszystko obchodzi. Czytając o tego rodzaju manewrach zaczepnej lub odpornej natury, stawiamy sobie starodawną zagadkę do rozwiązania „czy nos stworzony dla

tabakiery, czy też tabakiera dla nosa?“ to jest sprowadziwszy rzecz do właściwego znaczenia, „czy pisma publiczne istnieją dla literatów, czy też literaci dla pism.“ Sądząc z tego jak się praktykuje, pierwsze przypuszczenie miałoby racyę bytu. Panowie krytycy jedzą się wzajemnie jak gladyatorowie w cyrku, a czytającej i płacącej publiczności każą się patrzeć na owe zapasy. I dziwią się potem, że publiczność nie chce wspierać literatury i mało prenumeruje. Ależ na miłość boską tych waszych koteryjnych waśni ma ona już po uszy, a jeżeli król Alfonso hiszpański na swoje wesele wznowił w Madrycie cyrkowe zapasy, toż nasze znakomitości stojące za plecami dzienników już dawno się pożenili i nie każą wam in gratiam swych osób zabawiać czytelników... Nigdzie może, jak u nas we Lwowie, społeczność literacka nie rozbiła się na tyle obozów obozików i obózICZków, a są nawet już takie indywidualności, że same w sobie rozbija ją się na dwie sprzeczne z sobą połowy. Ta bratobójcza koteryjność do tego stopnia już się zakorzeniła u nas, że za największą zbrodnię poczytuje się człowiekowi, jeżeli dla miłego spokoju chciałby z innemi żyć w zgodzie. I to się nazywa u nas patryotyzmem, wyższym celem, ponad którym góruje miłość chrześciańska!

Wracając do nowości z dziedziny ducha, donosimy, że ukonsystuował się komitet, kwalifikować mający do grania nadesłane sztuki dramatyczne na konkurs imienia Fredry. W skład komitetu weszli delegaci tutejszych redakcyi, jako to: pp. Józef Tretiak, Spausta, Czerwieński z artystów zaś p. dyrektor teatru Dobrzański, Ładnowski i Fiszer. Obowiązkiem tego komitetu będzie udzielenie opinii co do wartości sztuk kwalifikujących się do odegrania na scenie, a najwyższym sędzią przyznającym nagrodę będzie tu oklask publiczności i kasa teatralna. Dopiero potem rozpocznie się czynność artystycznej komisyi Wydziału krajowego. Jedynaście kandydatek komedyowych wystąpiło dotychczas na scenę konkursu, lecz ile z tych powołanych wyjdzie wybranych — trudno dziś z tytułów przesądzać.

W Krakowie zawiązał się komitet pod prezydencyą prezesa akademii p. Majera, dla wydania kompletnego zbioru pism zmarłego Lucyana Siemieńskiego. Komitet ten wzywa wszystkich posiadających prawa na wydawnictwo pojedyńczych dzieł i utworów tego autora, aby celem ustąpienia tych praw komitetowi, zgłosili się w oznaczonym terminie. Podobny krok komitetu tak co do samego wydawnictwa, jakoteż i poszanowania praw nabywców godzien jest wszelkiego uznania i bodaj co do innych autorów mógł znaleźć naśladowców. Tyle u nas i to większej wartości wyczerpanych z handlu księgarskiego utworów już ginie w zapomnieniu, że nie dziwilibyśmy się, gdyby akademia krakowska zechciała przyswoić sobie tę myśl wzięcia inicyatywy do wszelkiego wydawnictwa nietylko prac Siemieńskiego, ale i innych autorów, które pod jej powagą prowadzone, nawet drogą przedpłaty dałyby się przeprowadzić.

Zresztą we Lwowie cicho, uwaga publiczna najzupełniej zwrócona jest na wielką politykę Anglii, średnią Austryi, a największą Moskali zdążających do Konstantynopola. Pisma humorystyczne wyzyskują jak mogą tę naprężoną sytuacyę, w czem „Dyabeł“ krakowski prym trzyma, a „Harap“ choć trochę za tłusto traktuje cieśninę Dardanelską, jednak nie jest pozbawiony pewnego dowcipu. Pokazuje się, że im większa bieda, tem humor nasz wzrasta, jak u człowieka, który mając do dyspozycyi tylko własną wesołość, szafuje ten jedyny pozostały mu skarb z dawnych czasów już bez żadnej kontroli. Jedyny wyjątek stanowi wasz najniższy sługa „Tydzień lwowski“, któremu karnawał chwilowo zakręcił już głowę, bo obsypany kotylionowymi orderami, w dobrej wierze przyjął je za wynagrodzenie swych zasług kronikarskich, i spoczął na laurach jak wielu daleko większych od niego dygnitarzy ze złotem runem. Jeżeli tamci się ockną i zobaczą, że zostali wywiedzeni w pole, z którego nie wiadomo czy trafią napowrót do domu, to i wasz sługa zrobi toż samo z tem miłem przekonaniem, że jeżeli był wywiedziony, to przynajmniej rączkami nadobnych tancerek.

* * *

Dowiadujemy się, iż wkrótce ujrzymy na scenie lwowskiej nowy dramat Sewera pt. „Dwie.“ Możeby dyrekcya teatru uznała za stosowne dać nam poznać ze sceny i inny utwór tegoż autora znany już i bardzo sympatycznie przyjęty na innych scenach: „Pojedynek szlachetnych.“ Dzisiejsza dyrekcya, stawiając na deski każdą nową oryginalną sztukę, mającą wartość, oddaje prawdziwą usługę literaturze dramatycznej. Ogłoszony konkurs da jeszcze szersze pole popisowi nowych talentów i może się przyczynić do znacznego postępu w tym kierunku.

* * *

Byliśmy niedawno zajęci przerzucaniem, już nie wiedzieć po raz który, Beniowskiego. Iskrzące się oktawy Juliusza przesuwały się przed oczyma jedna za drugą; wśród tego chaosu przepysznych obrazów, uderzyło nas dziwnym tonem kilka strofek ze względu na ich związek z bieżącymi wypadkami na Wschodzie. Malują one dosadnie pogląd tego wielkiego poety na sprawę i wypowiadają kilka myśli, które się już sprawdziły, a może blisko sprawdzą. Podajemy je jako ciekawy przyczynek do charakterystyki poety. Zwraca się ku Mahometowi:

O! ileż razy ognisty proroku
Boga, śród twoich wielbłądów klęczących
Z księżycem srebrnym w rozgorzałem oku
Musiałeś dumać tak, gdy z fal gorących
Wychodził krwawy par nakształt obłoku,
I szedł po stepie... Królu konających,
Wiara twa odlatuje i zostawi
Hymn taki smutny, jak echo żurawi!

Wkrótce, Słowianin z twoich wież postrąca
Śpiewaki, Boga śpiewający imię;
Z wież twoich zrzuci białe półmiesiące,
Na piersiach twoich odalisk zadrzymie.
Na falach twoich, twoja flota drżąca
Stoi, jak wojsko upiorów olbrzymie;
Chciałaby zakryć twoje piersi całe,
Spruchniałym żaglem królestwo spruchniałe.

Próżno — o próżno! rany tajemnicze,
Rozryły twoje nieszczęśliwe ciało;
Twoje zaś śmiercią już blade oblicze,
Umarłych moich ojców przypomniało
I tę godzinę, gdy byli pod bicze
Dani, jak Chrystus... i gdy w nich konało
Serce... i gorszą jeszcze niż skonanie
Tę – gdy przestali wierzyć w zmartwychwstanie.

Przez podobieństwo śmierci, przez tę ciszę,
Co się nad tobą teraz rozpostarła,
Zabłądzonemu w twoich palm zacisze.
Serceś mi wzięła, moje łzy wydarła!
Meczetów twoich płacz wieczorny słyszę,
I po tym śpiewie wiem, żeś nie umarła,
Ani się podłem ulęknieniem spodlisz,
Bo patrzysz w słońce i o śmierć się modlisz!

Niech ci zgon będzie słodki – a w pustyni,
Pod namiotami kiedyś Arab stary
Powieścią swoją wielki płacz uczyni,
Twe księżycowe śpiewając sztandary,
Gdy z wiatrem nieśli je Salahedyni,
Przeciwko złotym krzyżom innej wiary.
Araby ogień obsiędą stepowy,
I będą słuchać, smutne chyląc głowy;

Lub zapatrzeni w jasnych gwiazd orszaki,
Które od wieków nie zmieniły chodu,
I są dla ludów rodzonych jak znaki,
I takie same po zgonie narodu,
Tymczasem płomyk wstający z kulbaki,
Palcami gasi olbrzymi król lodu —
I gaśnie państwo białego księżyca,
Jak w poemacie Dziadów druga świeca.

* * *

Lwów należy do miast bardzo łatwo się zapalających, lecz i do takich, których zapały szybko gasną. Niezliczone tego moglibyśmy postawić dowody. Przez chwilę bawiliśmy się wojną, wojna znudziła. Stawialiśmy jedne po drugich programy polityczne, i to znudziło. Nawet proces o zdradę stanu przeszedł jakoś bez wielkiego wrażenia.

I na odczytach popularnych, co roku w zimie urządzanych, odbiła się ta niestałość. Dawniej sala ratuszowa napełniała się paniami, tak, że docisnąć się trudno było. Dziś prawie pustki, a prelegenci są zadowolnieni, jeżeli połowa krzeseł jest zajętą....

Stosunkowo najliczniejszym udziałem publiczności cieszą się odczyty urządzane przez towarzystwo pomocy naukowej słuchaczów Politechniki lwowskiej. Zdawaliśmy już w swoim czasie z pierwszych dwóch, na których p. H. Schmitt mówił o Polsce na kongresie wiedeńskim. Od tego czasu trzech prelegentów, w czterech godzinach przesunęło się przed oczami publiczności. Naprzód mówił pan Abakanowicz „o nowych poglądach na układ i budowę światów“. W dwóch godzinach podał treściwie główniejsze rezultaty, do których doszła nauka astronomiczna nowszych czasów. Mówił, jak hipoteza Laplace'a o powstawaniu światów z mgławic zyskiwała coraz nowsze dowody prawdziwości, jak za pomocą analizy spektralnej zdołano poznać, z jakich ciał składają się ciała niebieskie odległe od nas o tysiące mil, jakie obecnie zachodzą przemiany w wszechświecie, i jaki jest cel ostateczny, do którego dąży stan jego fizyczny.

Następnie mówił prof. Fabian „o atomach i próżni“ dowodząc, że to co dawniej nazywano próżnią, jest w rzeczywistości przestrzenią napełnioną niezmiernie subtelną materyą zwaną eterem, która nie podlega sile ciężkości i wciska się nawet w inne ciała, zajmując miejsca wolne między drobnemi cząsteczkami, z których się każde ciało składa. Interesujący ten wykład pełen faktów naukowych, i wyłożony z ogromną jasnością, zostawił w umysłach słuchaczy niejedno zdrowe ziarno nauki.

Później mówił Dr. Ochorowicz „o zastosowaniach Psychologii“. W wykładzie tym wykazał przedewszystkiem, różnicę pomiędzy dawną psychologią a dzisiejszą, objaśniając przyczyny bezpłodności pierwszej a licznych zastosowań drugiej do nauk i do życia. Uważając psychologią nie za część filozofii, lecz za naukę samoistną, na spostrzeganiu zjawisk opartą, określił jej sto-

sunek do właściwych działów filozofii, a mianowicie do loiki, estetyki i etyki. Pierwsza z nich, jako nauka o prawach myślenia, musi się oprzeć na badaniu różnych form myślenia w ogóle, a więc na badaniach psychologicznych. Podobnież psychologiczną podstawę muszą mieć estetyka i etyka, jeżeli ideały ich nie mają zbyt odstępować od rzeczywistości, lecz przejawiać się w sztuce i wywrzeć wpływ jej właściwy. Powieściopisarz, dramaturg, malarz, tylko wtedy silniej działają na umysły ludzkie, jeżeli w dziełach ich widną jest znajomość ludzkiej natury i serca, praw rządzących uczuciami i wolą. Następnie przeszedł prelegent do zastosowań pedagogicznych, wykazując na przykładach z teoryi uwagi, z teoryi charakterów, kary i nagrody i t. p., że cała pedagogika jest właściwie tylko zastosowaniem spostrzeżeń psychologicznych..

Takież samo znaczenie spostrzeżeń tych objawia się i w stosunku do badań lekarskich, chorób duszy dotyczących i właśnie psychiatria nowszy swój postęp, a mianowicie metodę ludzkiego i racyonalnego obchodzenia się z obłąkanymi zawdzięcza wskazówkom psychologii fizyologicznej. Wreszcie nawet i dla nauk przyrodniczych psychologia o tyle może mieć znaczenie, że wykazując jak powstają nasze pojęcia siły, ruchu i materyi itp., strzeże nas od zbytniego zaufania w ich treść na spostrzeganiu umysłowem opartą i od tworzenia hipotez, przekraczających sferę dla umysłu ludzkiego dostępną. „Trzeba żeby w umysłach było jasno," temi słowy zakończył prelegent odczyt, pozostawiając resztę, mianowicie rozbiór stosunku psychologii do historyi, filologii, nauk społecznych i życia praktycznego, do drugiego odczytu, który się odbędzie w dniu 9go lutego.

Ze wszystkich tegorocznych odczytów ten ostatni ściągnął największą ilość słuchaczy, głównie ze względu na temat szerokie koła obchodzący. Prelegent mówił jasno, w zwykły mu właściwy sposób. Forma i język odczytu były bez zarzutu, a słuchacze żegnali prelegenta przeciągłymi oklaskami.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

— *Henryk Schmitt* wydał broszurę treści polityczno-polemicznej p. t. *Kilka myśli na czasie w sprawach publicznych*, w pierwszej części zajmuje się autor polityką Austryi od czasów projektu pierwszego rozbioru Polski i przedstawia zgubne skutki dla Austryi z rozbioru Polski, jako też chwiejność polityki Austryi w dzisiejszej chwili przy najeździe moskiewskim na Turcyę; w drugiej polemizuje z artykułem p. Szujskiego, *Fałszywa historya jako mistrzyni fałszywej polityki.* Na który to artykuł p. Szujskiego zamieściliśmy odpowiedź w jednym z poprzednich numerów *Tygodnia.*

Broszura p. H. Schmitta wyróżnia się z powodzi broszur politycznych, jakie się ukazały w ostatnich czasach gruntownym sądem, opartym na znajomości dziejów polskich i powszechnych, których p. H. Schmitt jest u nas obecnie najznakomitszym badaczem i popularyzatorem.

— *Ciotunia*, komedya Michała Bałuckiego wkrótce odegraną zostanie w Warszawie.

— *Wzrost czytelników.* W Piotrkowie w r. 1866 prenumerowano 350 egzemplarzy różnych czasopism w r. zaś 1877, 1 321, z tej liczby polskich 999.

— *Pogodzeni z losem*, nowa komedya Lubowskiego, przedstawioną będzie na scenie warszawskiej.

— Panowie *Stanisław Dobrzański, Rychter i Karol Doroszyński*, artystyczni dyrektorowie teatrów lwowskiego, krakowskiego i poznańskiego odwiedzili Warszawę w celu porobienia odpowiednich przygotowań na letnie występy w stolicy polskiej.

— Czasopismo *Przyroda i Przemysł* rozpocznie od 1 kwietnia na nowo wychodzić pod redakcyą Karola Jurkiewicza prof. warszawskiego uniwersytetu.

— *Dziejów powszechnych* Szlossera i Hagena wyszedł z druku zeszyt 127 i 128.

— *Nowożeńcy*, komedya Björnsterna Björnsona opuściła prasę w przekładzie A. Walewskiego jako nr. I. Biblioteki teatrów amatorskich.

— Do grona niestrudzonych pracowników na niwie beletrystycznej należy bez wątpienia i Jan Zacharjasiewicz.

Ceniony ten powieściopisarz utworami swemi ciągle zasila pisma peryodyczne.

Obecnie także drukują się dwie jego powieści. Jednę z nich „Pojedynek" zamieszcza „Kronika Rodzinna", drugą „Biesiada Literacka" pt. „Jedna Krew".

— *Biesiada literacka* zamieściła drzeworyt „Shylock z Jessyką", będący kopią cennego płótna Gottlieba, młodziutkiego a pełnego przyszłości malarza z Drohobycza (w Galicyi).

Utalentowany artysta przedmioty do swych obrazów czerpie z historyi i podań judaizmu. Sam bowiem będąc pochodzenia izraelskiego, ma w duszy żywe wspomnienia kolebki swej wiary.

Gottliebowi wróżą świetne w sztuce stanowisko — jest on uczniem szkoły wiedeńskiej, choć wpływ Matejki znać w nim widoczny.

— W pierwszym tegorocznym zeszycie Ateneum mieści się wiele prac bardzo interesujących, do takich zaliczamy pracę dra Rehmana o ludach pierwotnych południowej Afryki, oraz studyum biograficzno-literackie pana Piotra Chmielowskiego o Goethem.

— „Towarzystwo Szubrawców i Jędrzej Śniadecki". Taki tytuł nosi zarys „obyczajowy literacki" Piotra Chmielowskiego, rozpoczęty w ostatnim numerze „Tyg Illustr.", w którym autor na podstawie „kodeksu szubrawskiego" „wiadomości brukowych" i innych źródeł, kreśli zajmującą historyę słynnego stowarzyszenia „Szubrawców", istniejącego w Wilnie na początku bieżącego stulecia.

Kopalnie złota

— Jedna z zagranicznych gazet donosi, że kapitan Berton odkrył w Arabii północnej pokłady złota.

— Afrykańska Kalifornia. Czytelnicy przypomną sobie, że w roku zeszłym wielkie wzbudzały zaciekawienie doniesienia dzienników angielskich o odkryciach, dokonanych przez angielskiego oryentalistę kapitana Burtona oraz inżyniera Marie w biblijnej krainie Midianu, położonej w południowo-wschodniej stronie wybrzeży zatoki Akba, nad morzem Czerwonem. Podróżnicy wspomnieni odkryli oprócz ruin starożytnych miast i osad także ślady przedwiekowych robót górniczych dowodzące, że w odległej starożytności kwitł w tych okolicach przemysł górniczy. Znaleźli tam wreszcie złoto, miedź i srebro, oraz inne szlachetne kruszce w stanie natury. Obecnie, jak donosi „Times," kapitan Burton zajmuje się w Egipcie zorganizowaniem wyprawy nowej i na większą skalę, do krainy Midianu, w celu ścisłego i wszechstronnego zbadania tej afrykańskiej Kalifornii. Zwłaszcza kopalnie miedzi, zdaniem Burtona, przynieść mogą znaczne korzyści, ponieważ odległe są tylko o 10 mil od wybrzeża morskiego. Srebro znajduje się w tem samem pasmie gór, złoto zaś w strumieniach już dalej od wybrzeża położonych. W zatoce Akba są też wygodne przystanie dla okrętów. Uczeni angielscy już znaleźli pomiędzy staroegipskiemi napisami dowody, iż kopalnie odkryte przez Burtona istotnie znane były starożytnym. I tak na obelisku w tych czasach przewiezionym do Anglii, a zwanym „Igłą Kleopatry" jest ślad tego w wzmiance o królu Ramzesie III, a nadto w papyrusie Harrisa, przechowywanym w muzeum brytyjskiem znajduje się ustęp następujący: „Ja, Ramzes, wysłałem swych pełnomocników do krainy Akba, do wielkich kopalń miedzi, które się tam znajdują; ich okręty zostały miedzią naładowane, a inni mężowie prowadzili swój ładunek na mułach itd."

ROZMAITOŚCI.

Z ŻYCIA WIKTORA EMANUELA.

Po zdobyciu Neapolu i Sycylii, Garibaldi zawezwany przez Wiktora Emanuela, udał się do pałacu króla we Florencyi.

Słynny partyzant znalazłszy się nagle w pośród orszaku dworzan w sali posłuchalnej, czekał w milczeniu na ukazanie się monarchy.

Drzwi się otworzyły i wszedł król, a ujrzawszy przed sobą bohatera Włoch, wziął go pod rękę i zaprowadził do swojego gabinetu.

Tam wskazawszy mu krzesło, zapytał, jakiej żąda nagrody za tak bohaterską wyprawę, będącą główną podstawą zjednoczenia Włoch w całość nierozerwalną.

— Jestem gotów uczynić zadość wszystkim twym żądaniom — mówił Wiktor Emanuel — mów, nie lękaj się, a wszystko czego zapragniesz, urzeczywistni się bezzwłocznie.

— Najjaśniejszy panie — odrzekł Garibaldi — kiedy już tyle łaski okazujesz dla mnie, pragnąłbym cię tylko o jednę rzecz prosić.

— O cóż takiego, powiada, bez wahania się powtarzam ci, że wszystkiego żądać możesz.

— Oto najjaśniejszy panie, czekając długo na pojawienie się waszej królewskiej mości, stęskniłem się bez cygara, bo tam widocznie nikt z tych panów nie pali, albo może tu nie jest w zwyczaju w tym pałacu. Jednakże ponieważ mnie wasza królewska mość tak ośmiela, prosiłbym o pozwolenie wypalenia cygara.

Wiktor Emanuel uśmiechnął się, wyjął cygaro i podał je Garibaldemu.

— Masz słuszność — rzekł — i zgadzam się najzupełniej z tobą. Powinniśmy ze sobą postępować bez ceregielów, zostawiając to dworakom, którzy do niczego innego nie są zdolni. Zapal więc cygaro, ja tak samo uczynię i pogawędzimy ze sobą po przyjacielsku, tak będzie najlepiej.

* * *

W ostatnich czasach wiele mówiono o zbliżeniu się Wiktora Emanuela do Ojca świętego.

Dzienniki włoskie w sposób nader dyskretny opisywały wizyty „najwyżej położonej osoby," składane „głowie kościoła katolickiego" w Watykanie.

Według tych wersyi, wieczorem otwierała się podobno boczna furtka zamku.

Stawał w niej mnich milczący, zasłonięty kapturem i zdawał się kogoś wyczekiwać.

Czekał zwykle krótko — z wybiciem bowiem oznaczonej godziny nadjeżdżał dwukonny, skromny powóz i zatrzymywał się przed furtą.

Wysiadającym z jego wnętrza był Wiktor Emanuel.

Cichy mnich zamknąwszy znów wrota, postępował jako przewodnik i doprowadzać miał króla Włoch do celi Piusa IX-go.

* * *

Wiktor Emanuel najchętniej zrzucał purpurę i zwiedzał stolicę *incognito.*

Często też ubrany w aksamitny czarny kubraczek, z długiem w ustach cygarem, wstępował do ożywionych kawiarń.

Zdarzyło się, iż raz garson dość długo nie podawał mu kawy, mniej zważając na gościa, co skromnie usiadł w kąciku.

Wreszcie przyniósł filiżankę królowi, lecz stawiając na marmurowym stole, przechylił ją i rozlał napój na szaty królewskie.

— Do dyabła — mruknął Wiktor Emanuel — nie masz w sobie kawalerze ani krzty geniuszu szambelańskiego i zmarłbyś z głodu na dworze któregoz moich przyjaciół... ale tu na pociechę masz dziesięć lirów, więcej nie mam przy sobie, przebacz!

* * *

Wiktor Emanuel był zapalonym myśliwym, pewnego razu polował sam, jak zwykł, w okolicy Rzy-

mu. Zdarzyło się, że strzelił do zająca w chwili, kiedy także jakiś podtatusiały mieszczanin rzymski wypalił był ze swej strzelby do tego samego celu. Obaj myśliwi przyskoczyli do ubitej zwierzyny. Mój panie — wołał król już z daleka — tego zająca ja położyłem. — Et dałbyś pan pokój — protestował chciwy łupu przeciwnik, który oczywiście nie przeczuwał nawet, że ma sprawę z królem — dałbyś pan pokój, powtarzam. To samo co pan, mógłby powiedzieć pierwszy lepszy... Proszę! jaki mi do zabijania zajęcy. — A jednak — odparł podrażniony już król — zając ten do mnie należy i ja go zabieram. — Chciałbym to widzieć! — przedrwiwał mieszczanin, demonstrując jednocześnie ręką w celu wydarcia królowi zdobyczy. Król jednak posiadał siłę prawie atletyczną, a gdzie trzeba było, nie skąpił jej wcale... Szamotanie się więc pomiędzy przeciwnikami nie długo trwało; król pozostał zwycięzcą, a pokonany przeciwnik rozpoczął odwrót, nie bez tego oczywiście, żeby całej kopy „najdoborowszych“ epitetów myśliwskich nie wysypać na mniemanego przywłaściciela jego zwierzyny. Wiktor Emanuel też ochłonąwszy, liczyć się zaczął z uczuciem słuszności, które w tak wysokim stopniu posiadał. Może w istocie — pomyślał — nie ja zabiłem zająca, ale tamten? Od bramy Rzymu więc wysłał za pokonanym przeciwnikiem oficera z poleceniem, ażeby się dowiedział, gdzie tenże mieszka. W godzinę oficer doniósł, że nieznajomy myśliwy jest ubogim stolarzem z Porta del Popolo. Na rozkaz króla sprowadzono go powozem dworskim do Kwirynału, gdzie ku niemałemu przerażeniu poznał w królu swego przeciwnika. — Mości Salvini — przywitał go król łagodnie — kazałem tu pana prosić, ponieważ mój kucharz znalazł w zającu także ziarna śrutowe takiego kalibru, których ja nie używam. Obaj mamy prawo do tego łupu. Wiesz pan co? Oto zjedzmy razem zająca! — I zaledwie to król rzekł, otworzyły się drzwi jadalne, gdzie na stole między dwoma nakryciami sporny zając roztaczał zapraszające wonie...

GDZIE SZYLDWACH?

Opowiadanie z wojny amerykańskiej.

Podczas wspaniałej nocy czwartego sierpnia 1862 r. ósmy pułk Ohajski rozłożył się obozem nad brzegiem Błękitnej rzeki, powyżej Chickahominy. Jasno przyświecały promienie księżyca w pełni przez gałęzie starych jodeł, pod któremi rozbito namioty, i gdzie ze śpiewem słowika mięszały się skrzeczenia żab z sąsiedniego stawu. Nad brzegiem tego stawu postawiono na straży Dyck-Tompsona, który z muszkietem na ramieniu zaczął się przechadzać tam i nazad. Przyjaciel jego Henryk-Meex mógł go widzieć ze swego stanowiska i śmiał się wraz z towarzyszem swoim, Tomaszem Warry, z poważnej figury w krótkim niebieskim surducie, spiczastym kapeluszu i wysokich butach. Nagle spostrzegli, że zatrzymał się nieruchomo, odwrócił się plecami do stawu, i niedbale wsparł się na broń.

„Przecież niepodobna, żeby się już zmęczył“ — rzekł Tomasz do towarzysza — „byłoby to trochę za wcześnie; cztery godziny, które mu za jego nieoczyszczony karabin wyznaczono, zaledwo się zaczęły“.

„Ja sądzę, że zanim się położymy, możemy zejść do niego, i zanieść mu coś do jedzenia, ponieważ ze zgryzoty nic jeść nie chciał przed pójściem na stanowisko. Mam jeszcze bułkę w woreczku — rzekł miłosierny Henryk.

„A ja jeszcze kawałek sera“ — dodał Tomasz.

Henryk zabrał pożywienie i odszedł. Zaledwie jednak uszedł z dziesięć kroków od namiotu, gdy szyldwach nagle zniknął z oczów. Przystanął, przetarł sobie oczy, ażeby się przekonać, że dobrze patrzy, lecz miejsce, na na którem stał Dick Thompson, było pustem, i nie mógł się mylić w tym względzie. Niemógł jednak w żaden sposób wytłumaczyć sobie tego tajemniczego zniknięcia, i nawet w tem miejscu, do którego przybiegł, nie znalazł żadnej wskazówki do rozwiązania tajemnicy.

Szybko zdecydowawszy się zawrócił, ażeby na innych zawołać, lecz zanim zdołał usta otworzyć, coś nagle padło mu pod nogi. Rozglądając coby to być mogło, spostrzegł przedmiot, który się szybko ściągnął robiąc na nim wrażenie wielkiego węża. Szelest w trzcinie nad brzegiem stawu potwierdził w nim ten domysł.

„Lecz to nie może mieć nic wspólnego z zniknięciem mojego towarzysza“ — mruknął Henryk — „Wąż nie jest przecież czarownicą, a w cuda trudno żeby rozsądny człowiek wierzył“.

Zawołał na kaprala, który też niedługo się ukazał, lecz Henryk tak był przerażony tym wypadkiem i zdumienie swoje w tak żywy sposób objawiał, że w kilka minut prawie cały pułk począł się śmiać głośno. Natychmiast całą okolicę przeszukano, nie pomijając żadnego krzaczka, nie doszedłszy jednak do żadnego rezultatu, tak, że pułkownik i major, którzy razem nadbiegli pytająco spoglądali na siebie

„Coś tak zabawnego jeszcze mi się w życiu nigdy nie trafiło“ — rzekł pierwszy — „bo Henryk Meeks przysięga, że szyldwach nigdzie się z miejsca nie ruszył“.

„Henryk musi być w błędzie“ — odpowiedział major — „zapewne złudził go odblask księżyca; musiał Dyck na rękach podpełznąć i zniknął mu w wysokiej trawie. Bóg wie w którą stronę lasu mógł on się udać“.

„Jabym go musiał widzieć, panie majorze, a Dick nie jest przecież zbiegiem.“

Pułkownik tymczasem bystrem okiem rozglądał się po stawie i skierował je wreszcie na jeden wzniosły kawałek lądu, gęsto zarośnięty krzaczkami; punkt ten mógł leżeć co najwyżej o dziesięć kroków od miejsca na którem stali.

„Co to jest, coś pan tam zobaczył?“ — zapytał ciekawie major“.

„Mogę się mylić — odrzekł pułkownik — ale zdaje mi się, że na tej małej wysepce, widzę na krzaku wiszący kapelusz“.

„On to jest, nie mylę się“ — zawołał major — „niewątpliwie tam się schronił na to, ażeby czekać sposobności do ucieczki“.

„Wątpię“ — odrzekł pułkownik — „trudno żeby człowiek sam niepostrzeżony przepłynął, a tam, spojrzyj pan tylko teraz, rozpoznaję dokładnie kapelusz; ktoś tam jest“.

Któżby był jeżeli nie Thompson?

„Hej Thompson, czy ty tam jesteś?“ — krzyknął major. — Nikt nie odpowiedział.

„Naprzód chodźcie za mną“ — rozkazał major najbliższym. — Wtem coś błysło z krzaku, strzał się rozległ i major padł na ziemię. Podniesiono go i przeniesiono do obozu, kula zgruchotała mu nogę.

Żołnierze rzucili się naprzód z pułkownikiem na czele, dosięgli wkrótce suchego lądu, ale w tejże chwili ukazała się postać słusznego ze strzelbą mężczyzny ze sznurem na plecach; starał się on przedostać na drugi brzeg stawu.

„Chwytajcie go chłopcy, do kroćset djabłów“. — zawołał pułkownik.

Zaledwie potrzebnym był ten rozkaz, gdyż już go żołnierze dosięgali. Światło księżyca padło na niego i okazało ciemną niemiłą twarz z czarnemi błyszczącemi oczyma.

„Kto jesteś? — zapytał pułkownik.

„Buntownik“ — odpowiedział ten dumnie — „ktoś co przyzwyczajony jest do walki z Indyanami i Jankesami. Jestem Stexas!“

„A co robisz tu pod naszym obozem?“

„Poluję na grubego zwierza“ — odrzekł nieustraszony buntownik.

Pułkownik zdjął sznur z jego ramienia i obejrzał.

„To lasso — zawołał — pocóż to niesiesz?

„Ażeby chwytać szyldwachy Jankesów i dusić — odrzekł z szyderczym uśmiechem.

Pułkownik zadrżał. „Jeden z naszych szyldwachów stał tu na brzegu; czy nie mógł byś powiedzieć co się z nim stało?“

„Mógłbym, gdybym chciał“ — odrzekł buntownik — „zniknął szybko, nieprawdaż, mogę wam powiedzieć jak to było, bo nic mi na tajemnicy nie zależy“.

„A więc mów.“

„Przyszedł djabeł i wziął swoją ofiarę“ — odrzekł jeniec z głośnym śmiechem. Na inne pytania nie chciał odpowiadać.

Gdy go z miejsca odprowadzano, spostrzegli żołnierze leżący na ziemi muszkiet, który dotychczas uszedł ich uwagi.

Henryk Meeks podniósł go i poznał, że był własnością Thompsona.

Gdy to pułkownikowi zameldowano, kazał zamknąć buntownika do piwnicy. „Jeżeli za kilka minut nie chcesz wisieć na własnym sznurze, to powiedz, co się stało z szyldwachem.“

„Możecie mnie powiesić, jeśli wam się tak podoba — odrzekł najspokojniej jeniec — ale żądanej odpowiedzi nie otrzymacie odemnie.

„Dla czego nie? cóż ci może zależyć na tem, żeby być tak upartym“.

„Ponieważ mi to sprawia przyjemność, że was widzę w kłopocie; już to samo, że przeklętym Jankesom mogę na złość zrobić, jest dla mnie dostatecznym powodem“

W tej chwili jeden z żołnierzy wydał okrzyk i wskazał na ziemię. Wszystkich oczy zwróciły się w tę stronę i spostrzegli rękę wychylającą się z zarośli „Wielki Boże cóż to jest“ — zawołał pułkownik — „wyciągnijcie go z tamtąd.

Kalecząc sobie ręce, w kilka minut, ale z wielkim trudem zdołano wyciągnąć zabłocone i wodą cieknące zwłoki Dick Thompsona,

„Ty wiesz o tym czynie“ — rzekł pułkownik zwracając się znowu do buntownika — „czy masz odwagę przyznać się do niego“.

„Odwagę? — Na tej nie zbywa żadnemu ze Zjednoczonych żołnierzy“ — zawołał buntównik z dzikim wejrzeniem. — „Ja wiem o tym czynie. Ja to zarzuciłem na szyldwacha lassą, a ponieważ sznur okręcił mu się około szyi, mogłem go więc bez hałasu przeciągnąć do siebie. Reszty możecie się domyśleć, rzuciłem go do stawu. Potem zacząłem się rozglądać za nową zdobyczą, i rzuciłem lassą w stronę człowieka, który wyszedł szukać szyldwacha; lecz na nieszczęście chybiłem i ściągnąłem sznur na powrót, ażeby zarzucić po raz drugi, zanim by się mógł zorientować, co to było. Lecz gdy potem na kaprala zawołał, uznałem za właściwe trzymać się spokojnie i strzeliłem dopiero wtedy, gdym spostrzegł, że mnie odkryto.“

„Jesteś wisielec jakiego świat nie widział“ — rzekł pułkownik — „i jutro rano będziesz wisiał jakem Smith“.

„Teksańczyk nie obawia się śmierci“ — odpowiedział jeniec.

Z brzaskiem dnia zwłoki Dicka Tompsona uroczyście złożono do ziemi, mały pagórek i nagi krzyż wskazują miejsce, gdzie spoczywa a słowik śpiewa mu do snu. Po pogrzebie, zdala od poświęconego miejsca powieszono buntownika. Następnego dnia miała miejsce potyczka w której padł pułkownik Smith.

Od Redakcyi.

Wny Pan J. W. w Ustrzykach. Dzieła Mickiewicza kosztują 7·20 ct., w żaden więc sposób 4 złr. wystarczyć na to nie mogą.

Wny Pan Z. Z. w Chorośnicy. Cena pojedyńczych numerów "Tygodnia" 50 ct. jak to jest ogłoszono na okładce każdego numeru. Cena pojedyńczych numerów jest droższą od prenumeraty z bardzo wielu przyczyn.

Wna Pani T. D. w Sanoku. Tak jest. W zeszłym kwartale otrzymaliśmy dwa razy po 2 złr.

Treść Nr. 23.

	str.
Pochodnie Nerona przez Wojciecha Dzieduszyckiego	353
Łusia Burlak nowella Sewera na tle najprawdziwszych faktów osnuta	355
Studya historyozoficzne przez Tadeusza Korzona. Vico. (c. d.)	357
Wiara w duchy za naszych czasów napisał B. Kiewlicz (c. d.)	358
Panna kapitanówna przez Marka Pułnicza. (c. d.)	359
Z albumu Haliny wiersz Wincentego Pola.	361
Flotki i nie-plotki warszawskie IV. (Dok.)	361
Hektor Servadac. Przygody w podróży po światach słonecznych powieść Juliusza Verne'a (c. d.)	362
Pogadanki o Włoszech	364
Tydzień lwowski	365
Wiadomości z kraju i ze świata	367
Rozmaitości.	367
Gdzie szyldwach? Opowiadanie z wojny amerykańskiej	368
Od Redakcyi.	368

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.)   Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.